

Eugenia Magdziarz

WSPOMNIENIA

wstępna redakcja, uzupełnienia nazw niemieckich i przypisy

Tamara Włodarczyk

marzec 2011

Wstęp

Nie chcę pisać pamiętników, bo wydaje mi się, że pisać o swoich przeżyciach nie warto – i tak nie można pisać o wszystkim autentycznie, tak jak było. Będę się starała chociaż w minimalnej części oddać kilka szczegółów ze swojego życia. Jednak to, co napiszę, na pewno nie będzie życiorysem.

Zacznę od tego, że urodziłam się wbrew swojej woli, gdyż urodzenie dziecka, które w przyszłości ma być prześladowane tylko dlatego, że się właśnie urodziło, jest zupełnie zbyteczne.

Moje dzieciństwo do wybuchu II wojny światowej było takie, jak u tysięcy innych dzieci wychowanych w rodzinach robotniczych w mieście Łodzi, na Bałutach.

Nic specjalnego się nie działo – było się po prostu dorosłym mając siedem lat. Najlepiej pamiętam z tego okresu swoje rodzeństwo, a więc dwie starsze siostry i czterech braci. Rodzeństwo miałam ładne, dobre i mądre. Najstarszy brat Szymek był nadzwyczaj dobrym synem dla swoich rodziców. Ojciec mój stale chorował na stawy, pomimo młodego wieku, a matka była stale zapracowana – prała, gotowała, robiła zakupy i z trudem wiązała koniec z końcem.

W okresie szkolnym miałam dużo koleżanek – byłam dziewczynką odważną i bez kompleksów. Chodziłam do szkoły przy ul. Południowej – była to szkoła dla dziewcząt żydowskich. Za to na podwórku nie było żadnego podziału na dzieci żydowskie i inne. Wszystkie bawiły się razem bez różnicy narodowości i pochodzenia. Oczywiście bardzo często padały słowa obraźliwe pod adresem Żydów z ust dzieci nieżydowskich, ale mnie osobiście to nie obrażało – w duchu zawsze sobie myślałam, że to głupie dzieci tak gadają i pokazywałam im w złości język.

Raz tylko nie wytrzymałam i pobiłam się z chłopcem z niemieckiej rodziny, która miała skład masarski na naszej ulicy. On w swoich wyzwiskach nie przebierał i epitety pod adresem Żydów sypały się, że aż uszy więdły. Czym jest antysemityzm, to ja już wtedy dobrze wiedziałam. Nasz ojciec czytał na głos gazety o antysemickich ekscesach w Niemczech. Potem tato pojechał do Zbąszynia i przywiózł ze sobą swojego młodszego brata, którego hitlerowcy wysiedlili do Polski za pochodzenie żydowskie¹. Ten mój wujek

¹ W październiku 1938 r. w Zbąszyniu powstał obóz przejściowy dla ok. 6 tys. polskich Żydów z Niemiec, których deportowano do Polski, skąd następnie część z nich została odebrana przez polskie rodziny; obóz został zlikwidowany 26 sierpnia 1939 r.

miał – jak się okazało – żonę Niemkę i musiał się z nią rozejść, żeby tylko naziści zostawili ją w spokoju. Takie to były wtedy czasy.

Dorastałam i kiedy zdałam do siódmej klasy, zaczęły chodzić słuchy o wojnie. Moi rodzice bardzo martwili się – bali się tak samo, jak rodzice innych dzieci. W końcu nadeszło to straszne nieszczęście dla naszego narodu – wojna.

Rok szkolny rozpoczął się wraz z początkiem wojny. Nasz ojciec z braćmi poszli bronić ojczyzny – szli do Warszawy tak, jak szły setki tysięcy innych ojców i braci. Powrócili zawszawieni, brudni i bardzo nieszczęśliwi – tak samo, jak inni. Nie chcę przez to powiedzieć, że byli lepsi – po prostu najłatwiej mi opisywać najbliższe otoczenie, które dla mnie było jak najbardziej autentyczne.

Od samego początku wojny czułam w sobie straszny bunt i upór – jak na moje lata zadziwiający. Bałam się – tak jak wszyscy – hitlerowców, ale patrzyłam na nich nie jak na ludzi, tylko jak na dzikie bestie, wypuszczone z ogrodu zoologicznego. Nieraz potrafiłam stać i bezczelnie patrzeć na ich wstrętne gęby i słuchać ich wrzasków.

Moim obowiązkiem było chodzenie po chleb. Nie raz stałam całą noc w kolejce i udawało mi się szczęśliwie dostać bochenek. Miałam wyjątkowe szczęście – nigdy mnie nie wyrzucano z kolejki. Poza tym Niemcy – pomimo dobrych nosów antysemitycznych – nigdy nie wywąchali mojego pochodzenia. Jednym słowem stałam się zaopatrzeniowcem całej naszej rodziny.

Przed świętami Bożego Narodzenia, moi rodzice postanowili przenieść się do mojej babci (matki mojej mamy), na wieś leżącą na terenie województwa kieleckiego. Nasz ojciec chciał ze swoim bratem i całą rodziną wyemigrować do Związku Radzieckiego, ale mama nie chciała o tym słyszeć. Nie mogła zostawić na pastwę losu swoich starych rodziców. Nie wiem, dlaczego mama nie lubiła Wschodu i bolszewików, natomiast ojciec z jak największą sympatią wypowiadał się o bolszewikach i Związku Radzieckim. Mama zawsze mówiła, że to niemożliwe, aby tak kulturalny naród jak Niemcy, mógł dopuścić się takich zbrodni. Moja mama była najbardziej naiwną kobietą, jaką znałam. Zawsze wierzyła w dobre intencje nawet najgorszych ludzi. Właśnie ta jej naiwność spowodowała, że zginęła wraz z ojcem i sześciorgiem mojego rodzeństwa...

A więc wyjechaliśmy na wieś do naszych dziadków. Najstarszy brat i młodsza siostra Małgosia zostali w naszym mieszkaniu w Łodzi. Prawdopodobnie zginęli w Auschwitz – zostali wywiezieni z getta łódzkiego. Najstarsza siostra Lola mieszkała z mężem we Lwowie. Przyjechała do nas na wieś, w 1941 r., kiedy Niemcy napadli na Związek Radziecki. Jej mąż

przeżył – był w Armii Radzieckiej, ale nie spotkaliśmy się po wojnie i nie wiedział, że ja żyję. Poszukiwałam go potem za pośrednictwem różnych organizacji, ale bez efektu.

Lola zginęła w 1942 r. Ja byłam już wtedy we Wrocławiu [wówczas Breslau] i prosiłam ją, żeby do mnie przyjechała. Zginęła po drodze...

Po wojnie wybrałam się ze swoim mężem jej śladami, poszukiwałam jej u tych naszych znajomych, u których przebywała przez kilka tygodni, ale niewiele się dowiedziałam. Ci znajomi już nie żyli, a ich dzieci przypominały sobie tylko, że widziały moją siostrę – nawet dostrzegały jakieś podobieństwo między nami. Tak właśnie straciłam swoją najstarszą siostrę, która zginęła prawdopodobnie w łapance, albo ktoś ją rozpoznał i zadenuncjował u Niemców. Dwaj bracia zmarli na wsi – zachorowali na tyfus plamisty i zostali pochowani na cmentarzu we Włoszczowej. Rodzice i najmłodszy brat Wiktor oraz najbliższa rodzina mojej matki zostali wysiedleni we wrześniu 1942 r. do Włoszczowej i stamtąd, wraz ze wszystkimi Żydami zamieszkałymi na terenie powiatu włoszczowskiego, zostali wywiezieni do obozu zagłady². Konkretnie nie wiem do jakiego – przypuszczam, że do Auschwitz, gdyż tam właśnie w tym czasie wywożono najczęściej Żydów.

Nie będę pisała o dalszej rodzinie, gdyż ich losy są losami milionów Żydów, którzy zginęli w hitlerowskich obozach zagłady. Nie będę zamykała opowieści o swoich najbliższych w tych kilku słowach – na pewno będę bardzo często powracała do nich w trakcie dalszych opisów.

Do pisania zachęciła mnie rozprawa francuskiego pisarza i filozofa – Jeana-Paula Sartre'a, który bardzo trafnie pisał na temat Żydów³. Zgadzam się całkowicie z tym, co napisał o historii Żydów do 1957 r., ale co do jego dalszych rozważań na temat kwestii żydowskiej w socjalizmie, to mam pewne wątpliwości. Chociażby dlatego, że żyłam i pracowałam w tym ustroju 28 lat, a moje otoczenie w przeważającej części nie znało i nie zna dotychczas mojego pochodzenia. Na temat antysemityzmu w Polsce mam swoje wyrobione zdanie.

² Getto we Włoszczowej zostało utworzone w 1940 r.; zlikwidowano je we wrześniu 1942 r.; większość Żydów wysłano do obozu zagłady w Treblince, kilkaset osób do obozu pracy w Sandomierzu, a kilkaset zamordowano na miejscu.

³ Jean-Paul Sartre, Rozważania o kwestii żydowskiej, Warszawa 1957.

Ucieczka

Była druga połowa 1942 r. Terror hitlerowski szaleje we wszystkich najbardziej brutalnych odmianach. Nasza wieś była spokojna tylko z pozoru. Wrzesień był ciepły, ale mieszkańców naszej wioski – przede wszystkim ludność żydowską – przechodziło zimne mrowie.

Do mojego ojca przyszli sąsiedzi i poprosili go, aby ukrył się wraz z całą swoją rodziną. Jednak ojciec uważał, że lepiej iść za wszystkimi Żydami, gdyż nie wolno narażać innych ludzi z powodu swojej osoby i bliskich.

Niepokój wzrastał z dnia na dzień. Dochodziły do nas różne straszne wieści – w Kielcach wywieziono wszystkich Żydów do obozu zagłady, a z pobliskiej wsi nakazano Żydów wywieźć do miasteczka, aby stamtąd z kolei ich deportować do obozu.

W końcu do naszej wioski dotarła najgorsza wieść. Sołtys – dobry znajomy ojca i babki –oznajmił, że za dwa dni wszyscy Żydzi z naszej wsi mają stawić się wraz z całym swoim dobytkiem we Włoszczowej. Wiadomo było, że to już koniec naszej egzystencji. Biłam się ze swoimi myślami i nie wiedziałam, co mam robić. Iść czy nie iść na śmierć? Żal mi było zostawiać rodziców, brata, siostrę i wszystkich krewnych. Wiedziałam, że to już koniec wszystkiego...

Rozpoczęła się gorączka przygotowań na drogę wieczystą – bo tak ją zawsze nazywałam. Prosiłam rodziców, aby zostawili wszystko i uciekali, bo pomoc na pewno otrzymalibyśmy od naszych znajomych, ale oni nie chcieli o tym słyszeć.

Ja wiedziałam jedno – że nie wolno poddawać się i iść dobrowolnie na śmierć. Wołałam zginąć w trakcie ucieczki, bo to bardziej godna śmierć.

Wszyscy nasi znajomi, którzy zawsze wydawali mi się bardzo energiczni, zmienili się nie do poznania. Zdawało mi się, że to nie ludzie, a automaty. Nie wiem – może w obliczu śmierci człowiek traci energię. Właściwie sytuacja dla tych ludzi była prawie bez wyjścia. Wiedzieli, że obóz oznaczał to samo, co ucieczka do lasu, bez pomocy bliskich i kontaktów. Partyzantka na naszym terenie była w tym czasie jeszcze w powijakach. Po lasach grasowały różne niezorganizowane bandy, które kradły i rabowały. Na nich nie można było liczyć. Niektórzy nasi sąsiedzi próbowali w lesie robić kryjówki, ale to nie dało żadnych efektów, gdyż po kilku dniach wracali do wioski obrabowani i pobici. Dobrze, że przynajmniej żywi.

Powracam myślami do dnia, kiedy trzeba było wraz ze swoimi bliskimi opuścić naszą wieś i iść do punktu zbornego do Włoszczowej.

Decyzja

W ciągu kilku godzin musiałam zdecydować i wybrać śmierć albo życie. Postanowiłam wybrać życie. Już wiedziałam, co mam zrobić – muszę dotrzymać obietnicy danej Bolkowi. Przyjechać do Częstochowy, do niego i do jego rodziny, w towarzystwie mojej siostry ciotecznej Stasi i zarazem najlepszej przyjaciółki.

Do Włoszczowej było 19 kilometrów, a więc tylko kilka godzin marszu. Myśli, jedna po drugiej, cisnęły mi się do głowy. Nie wiedziałam, jak to będzie, ale instynktownie wyczuwałam, że muszę żyć i to, że uda mi się przeżyć, jeśli będę odważna. W miarę zbliżania się do Włoszczowej utwierdzałam się w słuszności swojego postanowienia. Stasia wyraziła gotowość, aby pójść razem ze mną.

Moja siostra Lola była już umówiona z naszym kolegą, który pełnił jakąś funkcję w Arbeitsamcie [niemieckim urzędzie pracy], że ją przewiezie do znajomych, którzy mieszkali w okolicach Krakowa. Dotrzymał słowa i bezpiecznie ją tam zawiózł.

Nasza ostateczna droga (mam tu na myśli odcinek 19 km od Dobromierza do Włoszczowej) wyglądała następująco: z przodu jechały podwozy⁴, na których siedzieli starcy i starszki, matki z małymi dziećmi i kobiety ciężarne, a także chorzy i inwalidzi. Za furmankami szli ludzie w sile wieku. Na samym końcu szła młodzież, a wśród nich byłam właśnie ja. Naszej całej karawany pilnowało trzech granatowych policjantów z naszej wioski. Można było sto razy uciec, ale nie było dokąd – bo przecież nie można było narażać na śmierć niewinnych ludzi, którzy komukolwiek z Żydów udzieliliby schronienia.

Nie wiem, skąd brałam tyle siły i energii, aby tak stanowczo postawić na swoim żegnając się z rodzicami i najmłodszym bratem. Pamiętam tylko, jak po pożegnaniu z nimi siłą odciągnęłam Stasię od jej ojca i obie poszłyśmy w kierunku dworca.

Od swojego ojca dostałam sto złotych, oprócz tego miałam szkolną teczkę i bieliznę oraz sukienkę na zmianę. W Dobromierzu zostawiłyśmy trochę naszych rzeczy u koleżanki i liczyłyśmy, że w jakiś sposób je potem odbierzemy. Tak też się stało – tydzień później odebrałyśmy od niej trochę naszych ubrań.

Wszyscy Żydzi we Włoszczowie zostali w bardzo krótkim czasie spędzeni na rynek i stamtąd zabrani. Ja już tego nie widziałam. Po pożegnaniu z rodzicami i najbliższymi obie ze Stasią skierowałyśmy się w kierunku dworca kolejowego. Nie znałyśmy dokładnie drogi i znalazłyśmy się z powrotem w rynku miasteczka. Za drugim razem byłyśmy już

⁴ Podwoda – dawnej określenie wozu wraz z obsługą.

na właściwej drodze. Z centrum do dworca było jeszcze około czterech kilometrów. Ja miałam za ciasne buty i obtarłam sobie nogi tak, że nie mogłam chodzić. Okazało się, że do Częstochowy nie było już pociągów i trzeba było gdzieś przenocować. Zastanawialiśmy się, dokąd iść – z powrotem do tego piekła? Postanowiłam wejść do chaty dróżnika i prosić o nocleg.

Nie wiedziałam tylko, jak zagaić rozmowę – mogłam przecież trafić na kogoś, kto nas zna i rozpozna nas jako Żydówki. Ale nie było wyboru – trzeba było zadebiutować w nowej roli, bo przecież bez pomocy ludzi nie można było się ukrywać. Trzeba było zacząć kłamać i to w sposób artystyczny! Zaczęłam od tego, że szmuglowaliśmy do Warszawy jajka i po drodze nas złapało gestapo, które zabrało nam dokumenty i towar, a my ledwo uratowałyśmy się ucieczką. Takie różne historie wymyślałyśmy, że aż sama zaczęłam w to wierzyć.

Żona dróżnika ulitowała się nad nami. Była sama w domu, potem przyszła jej córka i zięć, który był kolejjarzem. Poprosiłam go, żeby nam kupił bilety do Częstochowy i pomógł bezpiecznie przejechać, ponieważ nie mamy żadnych dokumentów. Oczywiście obiecał nam pomóc. Gospodyni domu przyniosła słomy i pościeliła nam w kuchni na podłodze. W nocy przyszli jej synowie. Zaczęli opowiadać o Żydach, których pakowali do wagonów towarowych z wapnem – o tym, jak ich bili i maltretowali. Między innymi opowiadał o mojej babce i dziadku oraz o znajomej będącej w ostatnim miesiącu ciąży, których gestapo zabiło na miejscu.

W nocy nie mogliśmy oka zmrużyć – o spaniu nie było mowy. Rano o godzinie piątej odchodził nasz pociąg. Obudził nas kolejjarz, a gospodyni dała nam na drogę jajka i chleb. My podarowałyśmy jej ładną chustkę na głowę i sweterek. Gdybym miała coś cenniejszego, na pewno by to od nas dostała, ale wtedy to były nasze największe skarby.

Znajomy kolejjarz wprowadził nas do wagonu, w którym siedział już jakiś przystojny mężczyzna w średnim wieku. Na początku przyglądaliśmy się sobie nieufnie, ale nikt nie zaczynał rozmowy. Potem nasz towarzysz podróży ośmielił się i zaczął z nami rozmawiać. Oczywiście zapytał, skąd i dokąd jedziemy. Opowiedziałam mu już znaną historię ze szmugłem i handlem jajkami, ale czułyśmy, że nam nie wierzy. Potem zapytałam go wprost, czy nam wierzy oraz czy zna tani hotel w Częstochowie. Odpowiedział, że nam wierzy, ale jego oczy mówiły coś innego. Dał nam adres do taniego hotelu przy ulicy Katedralnej i kazał powołać się na swoją osobę (jego nazwiska już nie pamiętam).

Dla mnie ta jazda pociągiem była naprawdę wielką wyprawą. Oprócz tego, że groziło nam straszne niebezpieczeństwo, to była to także nasza pierwsza w życiu podróż pociągiem.

Na dworcu w Częstochowie było pełno esesmanów i gestapowców z psami. Nam udało się przejść przez to piekło. Nasz nowy znajomy zniknął bardzo szybko, a my zapytałyśmy przygodnych ludzi o wiadomą ulicę i natychmiast się tam skierowałyśmy.

Przyjęła nas bardzo sympatyczna starsza pani. Była właścicielką hotelu, czyli czteropokojowego mieszkania z miejscami noclegowymi. Łóżko na jedną noc kosztowało 8 złotych – tak więc mogłyśmy parę nocy tam spędzić, gdyż miałam jeszcze 65 złotych.

W tym hotelu było więcej takich jak my – poznałam to od razu. Właścicielka tego lokalu pomagała również jeńcom radzieckim i prosiła nas o pomoc, jeśli tylko dysponowałybyśmy gotówką lub odzieżą. Oczywiście, że w naszej sytuacji niewiele mogłyśmy pomóc, ale obiecałam pomoc i słowa dotrzymałam, o czym napiszę we właściwym czasie.

Pozostało mi tylko jedno pragnienie – jak najszybciej zobaczyć się z Bolkiem. W tym też dopomogła nam nasza miła gospodyni, posyłając swojego syna z moim listem pod wskazany adres. Wieczorem, przed godziną policyjną zjawił się Bolek. Radość w naszym nieszczęściu była bardzo duża. Nareszcie pojawił się ktoś bliski! Po krótkiej naradzie Bolek postanowił nas zabrać do swojej matki, a potem zdecydować, co dalej. Zgodziłam się, ale pod warunkiem, że nie zostaniemy tam dłużej jak kilka dni.

Dom

Nareszcie znowu byłam w domu, ale nie robiłam sobie dużych nadziei na dłuższy pobyt, gdyż przede wszystkim zależało mi na bezpieczeństwie domowników. Matka Bolka – Nacia – była nadzwyczaj miłą i dobrą kobietą, która sama wychowała czwórkę dzieci – dwóch synów – Bolka i Zygmunta, których znałam i dwie córki. Poznałam ich, kiedy już wszyscy byli dorośli. Cały ich dom nazwałam Dobrą Nadzieją, bo przyjęto nas tam jak najbliższe krewne – bez cienia strachu. Nikt nic nie okazywał.

Miałam jeszcze całe nogi w pęcherzach, ale dzięki pobytowi w domu mogłam wykapać się i wyleczyć z tych pęcherzy, co od razu polepszyło mi samopoczucie. Nacia kupiła mi sandały, w których już mogłam swobodnie biegać. Na drugi dzień Stasia postanowiła pojechać do Dobromierza po nasze ciuchy. Wróciła ledwo żywa – połowy naszych rzeczy i tak już nie było. Najadła się tyle strachu, że w ogóle nie było warto tam jeździć.

Teraz ja z kolei zaproponowałam, że po otrzymaniu formularzy katolickich metryk urodzenia, które Bolek miał przynieść od proboszcza parafii św. Józefa i po ich wypełnieniu, zgłosimy się jako ochotniczki do pracy w Niemczech. Uważałam, że tak będzie dla nas wszystkich najbezpieczniej, bo przecież tam musiałybyśmy mieć dużego pecha, żeby trafić na kogoś, kto nas rozpozna. Pomimo tego, że świat jest przecież mały.

Rodzina Bolka trochę dziwnie zareagowała na mój pomysł. Ja ich doskonale rozumiałam, ale my nie miałyśmy innego wyjścia. Zostać u naszych przyjaciół oznaczało stale narażać ich na niebezpieczeństwo. Bolek i Zygmunt należeli do Batalionów Chłopskich i to już wystarczało. Oczywiście, że wołałybyśmy się do nich przyłączyć – razem z nimi działać i pracować, ale nie miałyśmy gdzie mieszkać, a narażać nikogo też nie chciałyśmy. Stało się na tym, że jedziemy jako ochotniczki do Niemiec.

Bolek dowiedział się, że za kilka dni wyrusza transport do Wrocławia i postanowiłyśmy zgłosić się właśnie do tego transportu. Nazajutrz Nacia poszła z nami do Arbeitsamtu, a ja stanęłam jako pierwsza w kolejce, aby zapisać się na wyjazd na roboty do Niemiec. W tej samej kolejce – 40 osób za mną – stanęła Stasia. Udało się i zapisano nas jako ochotniczki na wyjazd. Miałyśmy jednakowe metryki – zupełnie nowe egzemplarze – dlatego trzeba je było dobrze zgnieść i ubrudzić, aby za bardzo nie rzucały się w oczy. Oczywiście ja wypisałam dane personalne Stasi, a ona moje – tak więc obie wypełniłyśmy sobie nawzajem metryki, aby nie wzbudzać podejrzeń.

Nazajutrz żegnane ze łzami w oczach przez całą rodzinę, którą już uznałyśmy za swoją, udałyśmy się do obozu przejściowego na wyjazd do Niemiec. Oczywiście w tym obozie spotkałyśmy znajomych chłopców z naszych stron, którzy chcieli nam umożliwić ucieczkę i gorąco nas do tego namawiali. Pytanie – dokąd miałyśmy uciec?

Obóz w Częstochowie

Pierwszy dzień w obozie minął nam na rozglądaniu się wokół. Ja starałam się sprawiać wrażenie dziewczyny roztrzepanej i zarazem odważnej. Właściwie to mi się udało. Tylko przeraził mnie pewien młody człowiek, który podszedł do mnie i poradził, żebym schowała krzyżyk, który nosiłam na sukience, na wierzchu. Powiedział, że to razi i lepiej go schować. Właśnie ten młody człowiek parę lat później został mężem Stasi.

W obozie byłyśmy prawie przez tydzień, zanim nasz transport wysłano na Dolny Śląsk. Po dwóch dniach pobytu zostałam wyznaczona do dzielenia posiłków. Kroiłam chleb i

rozlewałam zupeł. W tym obozie było bardzo dużo Rosjan i Ukraińców – tam właśnie pierwszy raz zetknęłam się z językiem rosyjskim. Od Rosjank, z którymi mieszkaliśmy w jednym baraku, nauczyłam się wielu rosyjskich pieśni.

Spaliśmy na pryczach bez jakiegokolwiek przykrycia. Dobrze, że było jeszcze ciepło. Pewnego dnia przekradłam się przez mur i poszłam do kina na niemiecki film, który nosił tytuł: „Dreimal Hochzeit”⁵. Ten nasz znajomy – Tadeusz, który zwrócił mi uwagę na medalik, w dalszym ciągu nie dawał nam spokoju. Zaczął także chodzić za Stasią i dogadywać jej.

Oczywiście pewnego wieczoru Stasia przyznała mu się, że jest Żydówką i opowiedziała o wszystkim. Myślałam, że ją rozerwę na kawałki – bo jak można było być tak naiwną. Przecież tu nie chodziło tylko o nas. Ja się o siebie nie bałam – było mi wszystko jedno, co się ze mną stanie, ale ta wariatka mogła przecież zniszczyć życie naszym dobroczyńcom i przyjaciółom. Ale stało się i nie mogłam już nic na to poradzić.

Tadeusz okazał się człowiekiem godnym zaufania. Zaczął nas namawiać na ucieczkę do Warszawy, do swojej matki. Nawet dał Stasi adres do niej, na wypadek, gdyby jemu się coś przydarzyło.

Następnego dnia po tej rozmowie Tadeusz zniknął z obozu. Za dwa dni miał nastąpić koniec naszego pobytu w obozie. Nasz transport szykował się do wyjazdu do Niemiec. Przed samym odjazdem przyszedł Bolek ze swoim bratem i z wałówką dla nas na drogę. Pożegnanie było bardzo smutne, ale trzeba było trzymać się i nie płakać. Obiecałam sobie wtedy, że nigdy nie będę płakała – chyba, że nikt tego nie będzie widział. Z Bolkiem obiecaliśmy sobie, że po wojnie nigdy się nie rozstaniemy.

Nareszcie wsiadliśmy do pociągu jadącego do Wrocławia. Jako ochotnicy do pracy w Niemczech byliśmy traktowani nieco lepiej, a więc jechaliśmy w wagonach osobowych. Pociąg ruszył z miejsca i mijał jadące w przeciwnym kierunku wagony pełne ludzi. Wyglądałam przez okno – żegnałam kraj, jego lasy, łąki i tych nieszczęsnych Żydów, którzy jechali do obozów zagłady. Na jednej ze stacji nasz pociąg stanął. Zaczęłam rozmawiać z Żydami, którzy znajdowali się w tych zakratowanych towarowych pociągach. Pytałam, dokąd jadą? Pokazywali mi palcami, że do nieba...

Pociągów wypełnionych ludźmi było bardzo dużo – widziałam wiele dzieci i kobiet. Nie zapomnę nigdy blasku oczu tych kobiet, z którymi wtedy rozmawiałam. Myślałam, w którym pociągu są moi rodzice i czy jeszcze żyją? Przecież minął już tydzień od naszego rozstania. Nagle jakby mnie ktoś uderzył obuchem po głowie – usłyszałam okrzyki: „Precz

⁵ „Dreimal Hochzeit” – film niemiecki z 1941 r.; reżyser Géza von Bolváry, w rolach głównych wystąpili Willy Fritsch, Marte Harell i Theo Lingen.

z Żydami!” i wydawało mi się to niemożliwe. Ale w następnym przedziale cała grupa ochotników z naszego transportu wyżywała się na tych biedakach, wrzeszcząc na całe gardło: „Precz z Żydami!”, „Żydzi do Palestyny!”, „Żydzi do pieca!” itp. To było już ponad moje siły! I tu znowu szybko podjęłam decyzję – wrzeszcząc na całe gardło, wpadłam do tego przedziału i puściłam tym wszystkim ochotnikom taką wiązaną przekleństw, że na pewno przestraszyli się i na chwilę zamilkli. Potem tego, co ja od nich usłyszałam, to z przyzwoitości tu nie opiszę. Ale na szczęście nie usłyszałam tego, czego najbardziej się obawiałam – jeżeli ich tak bronisz, to na pewno jesteś jedną z nich!

W naszym przedziale było nas sześcioro – ja, Staszka oraz czterech chłopców, około dwudziestoletnich. Zachowywali się bardzo przyzwoicie – może pod naszym wpływem, ale na temat Żydów z nimi nie rozmawialiśmy. Spotykaliśmy się potem już we Wrocławiu, gdzie pracowali w stoczni rzecznej jako ładowacze.

Po pięciu godzinach jazdy wysiedliśmy we Wrocławiu na Odertor Bahnhof [obecnie Dworzec Nadodrze] i stamtąd nas od razu przetransportowano do obozu przejściowego w Rosenthal (obecna Różanka). Komendantem obozu był wówczas Herr Schwarz. Przywitał nas w towarzystwie swojego psa – rasowego owczarka niemieckiego. Ustawiono nas w szeregu, zapoznano z regulaminem obozu i od razu skierowano do łaźni, którą obsługiwali Ukraińcy i to w dodatku sami mężczyźni. Potem przeglądano nam włosy i zaprowadzono do baraków. W barakach były prycze – takie jak w Częstochowie – same deski, bez sienników i koców. Dano nam na obiad kapuśniak, ale musieli nam wrzucać do kapusty ziemniaki i to koniecznie w łupinach – tak, żeby od pierwszego dnia przyzwyczajając nas do niemieckich porządków. Musieliśmy wiedzieć, gdzie jest nasze miejsce w porównaniu z „narodem panów”.

Oczywiście od razu zbuntowałam się przeciwko takiemu traktowaniu i nie chciałam tego jeść. Komendant Schwarz akurat to widział i tak zaczęła się moja pierwsza lekcja pogładowa. Od razu dowiedziałam się, że jestem polską świnia i przyjechałam tutaj na roboty, a nie na urlop, ale tym razem obyło się bez bicia. Ja znowu nie chcąc pozostać mu dłużną, powiedziałam, że zawsze uważałam Niemców za bardzo kulturalnych ludzi, przyjechałam do Niemiec jako ochotniczka i nikt mnie do tego nie zmuszał. Schwarz trochę się zmiękczył moją mową – już wtedy zaczęłam rozmawiać po niemiecku. Czułam, że tym wystąpieniem zyskałam sobie sympatię otoczenia, a szczególnie Ukraińców. Było to dla mnie i dla Stasi bardzo na rękę. Ukraińcy piastowali w obozie wszystkie najważniejsze funkcje i więcej takiego obiadu jak zupa z ziemniaków w łupinach już nie otrzymałam. Mogłam za to wieczorami zachodzić do baraku dla personelu i pić z nimi kawę. Mieli nawet bimber i inne

frykasy. Z nich najbardziej przypadła mi do serca Tania – bardzo cicha i skromna dziewczyna, która przed wojną była studentką historii.

Do obozu na Różance trafiało wiele transportów Polaków, Rosjan i Ukraińców. Stąd dopiero kierowano ich dalej na Zachód – do fabryk i barów. Przypominam sobie, jak wybrano około 20 dziewcząt, w tym mnie i wszystkie ustawiono w szeregu. Powiedziano nam tak: „Wy jesteście bardzo szczęśliwe i wyróżnione, spotkał was niesamowity zaszczyt, bo będziecie przydzielone jako pomoce domowe do dobrych niemieckich rodzin”. Faktycznie – jak sobie przypominam – były w tej grupie same atrakcyjne i ładne dziewczęta, w wieku około 20 lat. Ja miałam wtedy 16 lat, ale wyglądałam na 20.

Posadę najpierw dostała Staszka. Zabrała ją pani Draft – żona prokuratora miejskiego. Było to bezdietne małżeństwo, zamieszkałe w pięknym, trzypokojowym mieszkaniu w dzielnicy Krietern [obecnie Krzyki]. Tak więc Staszka trafiła do dygnitarza.

Mnie z kolei przydzielono do domu właściciela domu towarowego z Priseldorfu pod Wrocławiem. Do dzisiaj nie wiem, gdzie leży ta miejscowość – wydaje mi się, że to chyba było za Deutsch Lissa [obecnie Leśnica].

Po tygodniu z powrotem przywieziono mnie do obozu we Wrocławiu. Nie chciałam być w tamtym domu, bo nie podobało mi się tam. Nie mogłam pogodzić się z myślą, że mam być odizolowana od polskiego otoczenia i skazana na słuchanie przez cały dzień języka niemieckiego. Zaczęłam udawać głupią – nawet połknęłam agrafkę na oczach kucharki. To poskutkowało – uwierzyli, dostałam nawet tęgie lanie od swojego szefa, który odwiózł mnie do Wrocławia, do tego samego obozu. Tam komendant Schwarz już wszystko wiedział. Zaczęło się od wyzywania mnie od najgorszych, a potem zagroził, że pošle mnie do pracy w fabryce. Ja tylko czekałam na to, bo przecież marzyłam, żeby pracować wszędzie, tylko nie w niemieckim domu jako pomoc domowa. Wołałam zaznać mniej „zaszczytów” z ich strony.

W obozie byłam tylko przez tydzień. Po tygodniu zjawiała się szefowa Stasi w towarzystwie swojej matki, która zabrała mnie do domu jako pomoc domową. Zapadła decyzja, że ja znakomicie nadaję się do tej funkcji i nic już nie pomogło.

Pracowałam więc u państwa Sroka (o ironio polskie nazwisko!), ale była to rodzina w najbardziej brutalnym wydaniu hitlerowskim. Moja szefowa – pani Sroka – modliła się do portretu Hitlera, który wisiał, tak jak święty obraz nad jej łóżkiem. Mnie nad łóżkiem powiesiła obraz przedstawiający Jezusa w koronie cierniowej na głowie. Nawet bardzo trafnie to wymyśliła.

Praca u tych ludzi była bardzo ciężka, ponad moje 16-letnie siły. Wstawałam o godzinie 6 rano, a szłam spać o 11 wieczorem. Cały dzień na nogach – sprzątałam, prałam,

szylałam, robiłam swetry na drutach i podlewałam co rano kwiaty w ogrodzie moczem swojej szefowej. Nie pozwalała mi tego moczu wylewać do toalety, ponieważ uważała, że nie wolno go tracić. Moja szefowa była tak skąpa, że trudno jej skąpstwo opisać.

Praca w domu stawała się z każdym dniem coraz trudniejsza do zniesienia. Do domu moich szefów na brydża często schodzili się goście z wrocławskiej elity, nawet Gauleiter Hanke⁶.

Przychodziła także córka mojej szefowej ze swoim mężem Oberstaatsanwaltem dr Draftem i wiele innych osobistości, których nazwisk nie pamiętam. Mój szef był na ogół człowiekiem spokojnym. Mnie właściwie nie dokuczał – musiał mieć stale wyczyszczone na glanc buty i wszystko podane w należyтым porządku. Piastował bardzo wysoką funkcję w banku, a potem został jego dyrektorem.

Pamiętam moje pierwsze święta Bożego Narodzenia we Wrocławiu, u moich szefów. O świętach rozmawiało się już na miesiąc naprzód. Moja szefowa robiła duże przygotowania, bo jej jedyny syn, który był lekarzem, miał przyjechać na urlop z frontu wschodniego. Miała jeszcze córkę – mężatkę, która mieszkała w tej samej dzielnicy, co my, przy Goethestr. (numeru już nie pamiętam)⁷. Święta wiązały się z oczekiwaniem na przyjazd syna moich przełożonych i z wyjazdami do krewnych na prowincję w celu zakupu wałówki. Wiem, że szefowa jeździła do Schweidnitz [obecnie Świdnicy], bo jej krewni mieli tam sklepy spożywcze i mięsne. Tam po znajomości zawsze zdobywała indyczkę, kaczkę oraz zajaca. Z domu na wieś wywoziła stare szmaty, a potem przywoziła wałówkę. To wszystko jej bardzo odpowiadało. Oprócz tego ubóstwiała swojego Führera.

Powoli traciłam do niej cierpliwość. Zaczęła interesować się moim życiem religijnym, więc w niedzielę wysyłała mnie rano do kościoła. Przed wyjściem oglądała mnie ze wszystkich stron, żebym wyglądała ładnie, bo ona była przecież właścicielką kamienicy, w której mieszkalam. Przedtem ten dom należał do rodziny żydowskiej. Moja szefowa bardzo dbała o reputację dobrej gospodyni – a więc służąca pochodząca z tak dobrego domu, również musiała ładnie i estetycznie wyglądać!

Oczywiście zamiast do kościoła szłam do parku, gdzie siedziałam, spałam albo spacerowałam – w zależności od pogody. Wracając do świąt Bożego Narodzenia – przygotowaliśmy z szefową masę różnych smakołyków i ciast, zjechała się cała masa gości, a ja miałam pełne ręce roboty. Rano wszystkim po kolei czyściłam buty, sprzątałam jadalnię

⁶ Karl August Hanke (1903–1945) – *Gauleiter* (naczelnik okręgu) NSDAP Dolnego Śląska, ostatni *Reichsführer-SS* w Trzeciej Rzeszy; w 1945 r. otrzymał przydomek „kat z Wrocławia”, ponieważ z jego polecenia zginęło tysiące mieszkańców miasta (wydał rozkaz wstrzymania ewakuacji ludności cywilnej).

⁷ *Goethestr.* – w latach 70. XX w. dawną *Goethestr.* podzielono na dwie części – ul. Przestrzenną i Wielką.

i nakrywałam do stołu. Moja szefowa nie mogła wyjść z podziwu, skąd ja wiem, jak się nakrywa i podaje do stołu. Zawsze mówiła mi, że w Polsce ludzie są ciemni, a dziewczęta dzikie i niewychowane. Dlatego spoglądała na mnie z ukosa i podziwiała. Gotować – tak, jak Niemcy gotują, nie umiałam, ale potrafiłam przygotowywać posiłki, tak, jak u nas gotowano. Moja matka często zaganiała mnie do prac domowych, bo byłam przecież najmłodszą córką w domu. Moje starsze siostry pracowały, a ja chodziłam do szkoły.

Pewnej nocy wstałam i idąc korytarzem do toalety, po drodze spotkałam swoją szefową. Tak się jej przestraszyłam, że o mało nie zemdlałam! Moja szefowa w ogóle nie miała włosów – czysta glaca! Jak mnie zobaczyła, to od razu uciekła. Nie wiedziałam, że nosi perukę, bo trzeba przyznać, że miała ją artystycznie zrobioną, dlatego nie miałam pojęcia, że ona kompletnie nie ma na głowie włosów!

Na drugi dzień szefowa sama wspomniała o naszym nocnym spotkaniu i zapytała mnie, czy nigdy nie widziałam kobiety bez włosów. Owszem – odpowiedziałam – widziałam, ale były to stare, religijne Żydówki. One wszystkie nosiły peruki. Szefowa na tę moją odpowiedź całkiem pobladła i odpowiedziała, że ona na pewno nie jest Żydówką i całe szczęście, że je Führer wywiózł z miasta, bo były tak śmierdzące, że całe miasto od nich śmierdziało. A na Schweidnitzer Str. [obecnie ul. Świdnicka] to ona już w ogóle nie mogła wychodzić – bo przecież tam ich było najwięcej. Chodziły grube i ubrane w karakułowe futra. Zapytałam ją, czy nigdy nie widziała Żydówki bez futra, biednej czy też szczupłej. Nakrzyczała na mnie i powiedziała, że bym nie pyskowała i głupot nie wygadywała! Moja szefowa była właśnie bardzo gruba i miała karakułowe futro... Mnie język tak świerzbiał, że musiałam jej powiedzieć, że jest bardzo podobna do Żydówek opisanych przez siebie i dodałam, że u nas w Polsce nie było takich Żydówek. Znałam słabą stronę swojej szefowej i moje słowa „u nas w Polsce” działały na nią jak przysłowiowa płachta na byka. Czułam, że należy zamilknąć i nie przeciągać struny. Wiedziałam, że zaraz ze złości wyszuka mi taką robotę, że się nie pozbieram – albo szorowanie strychu, albo schronu, albo darcie pierza z kur (czego nienawidziłam).

Powoli zaczynałam przyzwyczajać się do swojej pracy pomocy domowej. Do mojego szefostwa przychodzili goście, a ja musiałam ich obsługiwać. Szybko nauczyłam się języka i rozumiałam prawie każde słowo. Oni z kolei dziwili się, że w Polsce są takie pojętne i mądre dziewczęta, ale mówili też, że jestem dumną Polką.

Zawsze starałam się być ładnie i czysto ubrana. Nauczyłam się trochę szyć i ze starych szmat, znajdujących się w altanie, do której wpuszczała mnie moja szefowa, potrafiłam wyczarować dla siebie różne fatałaszkę. Nawet dla niej uszyłam pikowany szlafrok.

Nie mogła wyjść z podziwu, że my potrafimy takie rzeczy. Zawsze podkreślała, że Polacy to strasznie zacofany naród, a kobiety ubierają się okropnie, stale zawinięte w chusty. Powiedziałam jej kilka słów na temat gustu Niemek i zaraz się uspokoiła. Ciągle wypominała mi, że ja zawsze muszę mieć ostatnie słowo!

Pewnego dnia w domu szefowej nastąpiło trzęsienie ziemi. Przyszedł do mnie list z niemieckiego frontu. Ja zupełnie zapomniałam, że kiedyś idąc Garten Str. [obecnie ul. Piłsudskiego] z koleżanką rozmawiałyśmy po polsku i przyczepiło się do nas dwóch żołnierzy Wehrmachtu. Zagadnęli do nas po Śląsku – skąd jesteśmy i jak się tutaj dostałyśmy. W kilku słowach chciałam pozbyć się ich, ale oni dalej szli za nami i zaczęli opowiadać, jak przymusowo trafili na front i że oni tak samo nie lubią Niemców jak my⁸. Jak to młodzi – rozmawialiśmy o wszystkim i o niczym. Poprosili nas o nasze adresy i ja – dla zgrywy – podałam im swój adres. Pomyślałam, że to mi wcale nie zaszkodzi, jak ktoś z frontu przyśle do mnie list i zupełnie zapomniałam o tym epizodzie. Aż tu nagle przychodzi list od Francyka! Zaczynał się takimi słowami: „Leć listeczku drogi, do mojej niebogi, jak wejdiesz od proga, to pochwal Pana Boga” itd. Ja oczywiście na ten list nigdy nie odpisałam, bo przecież ten Francyk mnie w ogóle nie obchodził! Ale moja szefowa nie omieszkała o tym wszystkim opowiedzieć swoim znajomym, a ci z kolei już zaczęli mi dokuczać, że mam narzeczonego Niemca. Ci sami ludzie zaczęli mi tłumaczyć, że po 10 latach pobytu w Niemczech dostanę obywatelstwo niemieckie i będę mogła wyjść za mąż za Niemca. Ta perspektywa nie była dla mnie różowa, ale im stale odpowiadałam, że moim zdaniem wojna skończy się o wiele wcześniej.

Życie płynęło monotonnie – dzień za dniem. Święta przeszły, goście się rozjechali, a choinkę, którą ubierałam, trzeba było rozebrać. Płakałam za tą choinką – jak za kimś bardzo bliskim. Pomimo swojej dojrzałości, byłam jednak nadal dzieckiem. To drzewko przypominało mi Polskę i wszystko to, co utraciłam...

Pewnego razu idąc Garten Str. [obecnie Piłsudskiego], niedaleko Dworca Głównego, spotkałam kolegę z ulicy Drewnowskiej w Łodzi – Włodka, który był ode mnie starszy o jakieś trzy albo cztery lata. Strasznie się ucieszyliśmy z tego spotkania. Trzeba było sobie dużo wyjaśnić – także to, skąd się tutaj wzięłam. Włodek namawiał mnie, abym z nim uciekła do Wiednia, bo on tam pracuje i tam jest cała paczka z naszej ulicy. Bardzo chciałam uciec

⁸ W czasie II wojny światowej około 180-220 tys. (wg najnowszych badań Ryszarda Kaczmarka nawet 250 tys.) Górnoszlązaków zostało przymusowo wcielonych do Wehrmachtu; około 40 tys. z nich poległo. Zob. R. Kaczmarek, *Polacy w Wehrmachcie*, Wydawnictwo Literackie, 2010.

z tego domu, którego nienawidziłam, ale wcześniej chciałam się skontaktować z moją kuzynką Stasią i koleżanką Haliną.

Moja szefowa nie chciała mnie wypuścić z domu, bo wychodne miałam dwa razy w tygodniu – w niedzielę po południu i w środę, po obiedzie – jak pozmywałam naczynia i wszystko posprzątałam. Napisałam wtedy list do Stasi, że wyjeżdżam do Wiednia i żeby do mnie zadzwoniła, bo ja nawet dzwonić nie mogłam, gdy szefowa była w domu. A jak na złość, nigdzie nie wychodziła.

Nie wiem, jak to się stało, ale mój list dostał się w ręce szefowej Stasi, która była córką mojej szefowej, a ta z kolei poszła do tłumacza, który go przetłumaczył. Oczywiście cała historia mojej planowanej ucieczki się wydała i zostałam aresztowana, choć na razie w areszcie domowym. Zamknięto mnie w pokoiku służbowym, za kuchnią. Mieszkaliśmy na drugim piętrze i nie mogłam wyskoczyć przez okno, bo piętra były bardzo wysokie. Moja szefowa oznajmiła mi, że zostanę aresztowana przez gestapo, bo w tym liście bardzo ją obraziłam i napisałam o politycznych sprawach – o partyzantach w Jugosławii. Przy okazji wypuściła mnie do toalety i stamtąd zdążyłam zabrać butelkę kwasu solnego. Wypiłam ten kwas w swoim pokoiku i zaczęłam strasznie wymiotować. Bałam się gestapo, bo wiedziałam, jakich metod używają. Najbardziej martwiłam się o moich przyjaciół z Częstochowy, z którymi miałam kontakt jako z moimi krewnymi. Nie wiedziałam, jak sprawy się potoczą i czy w ogóle z tego wyjdę. Córka moich przełożonych akurat była w domu i ona – jako lekarka – zajęła się mną. Widocznie kwas solny nie był o dużym stężeniu, bo wypiłam prawie dwieście gramów. Miałam poparzony przełyk i straszne bóle. Lekarka ratowała mnie, jak mogła. Wiedziałam, że po cichu ona czuła do mnie trochę sympatii, ale ja bałam się z nią rozmawiać. Tylko raz jej powiedziałam, że szkoda jej męża, który jest dobrym lekarzem i walczy w Jugosławii. To właśnie od niej dowiedziałam się o jugosłowiańskich partyzantach.

Wieczorem przyjechało po mnie gestapo. Wsadzili mnie do swojej czarnej limuzyny i zawieźli do więzienia przy Neue Graupenstr. [obecnie ul. Sądowa]. Dostałam się do celi Polek, ale najpierw przebywałam kilka dni w szpitalu więziennym. Nie mogłam nic jeść, ani pić – właściwie to mnie wcale nie leczyli, tylko przychodzili mnie oglądać.

W celi szybko nawiązałam kontakt z moimi towarzyszkami niedoli. Prawie wszystkie byłyśmy młode, tylko jedna kobieta miała ponad czterdzieści lat i siedziała za ubicie świni, (a przynajmniej tak nam powiedziała). Reszta to były przeważnie więźniarki polityczne – trafiły tu za gazetki, za wypowiedzi, za ucieczki z pracy. Mnie moje towarzyszki wywróżyły Auschwitz i mówiły, że za taki list, to ja już świata bożego nie zobaczę.

Wreszcie wezwano mnie na przesłuchanie. Moją sprawę prowadził komisarz Ból. Znowu (o ironio!) polskie nazwisko pod hitlerowską duszą. Ten gestapowiec zajmował się sprawami Polaków we Wrocławiu, podobno był „siekierą” i mówił bardzo dobrze po polsku. Trzymał mój list w rękach i pytał o każde zdanie. Musiałam z zimną krwią kłamać – całe szczęście, że ten list pisałam w stanie zdenerwowania i bardzo niewyraźnie. Pisałam, że niedługo będziemy naszych okupantów tak załatwiać, jak Jugosłowianie załatwiają ich na Bałkanach, i to, że moja szefowa to jest stara szantrapa, której nienawidzę z całego serca tak, że dłużej już nie mogę przebywać w tym hitlerowskim otoczeniu i muszę uciekać.

Całe szczęście, że nie napisałam dokąd chcę uciec oraz z kim i gdzie miałam się spotkać. Oczywiście strasznie naiwnie się tłumaczyłam. Mówiłam, że faktycznie chciałam uciekać, ale do miasta niemieckiego – bo przecież Wiedeń to niemieckie miasto! Cóż w tym złego? Do Polski i do rodziny nie chciałam wracać, bo mam niedobrą rodzinę, dlatego przyjechałam do Niemiec jako ochotniczka, a nie przymusowo. A te Bałkany, o których wspomniałam, to miejsce, gdzie żyli wrogowie mojego ojca, którzy go zabili. Nie wiem, co się stało – może miałam dużo szczęścia – ale po miesiącu zwolnili mnie z więzienia i przyszedł po mnie sam Ból. Moje towarzyszkę z celi nie wierzyły, że wychodzę na wolność, a mnie było bardzo ciężko rozstać się z nimi. Po jakimś czasie udało mi się z nimi skontaktować, bo jako więźniarki nasze komando pracowało w pralni przy Ofener Str. [obecnie ul. Krakowska]. Pewnego dnia pojechałam tam z wałówką – zastałam je, strażnikowi dałam papierosy, aby przekazał im pozdrowienia i prezent ode mnie. Nie dopuścił mnie jednak do nich, ale zobaczyły mnie z daleka i uśmiechały się do mnie. Po wyjściu z więzienia skierowano mnie na Salzstr. [obecnie ul. Cybulskiego] gdzie wtedy mieścił się urząd Arbeitsamt. Tam znowu przydzielono mnie do pracy w niemieckim domu, na takich samych warunkach, ale tym razem za karę do rodziny z czwórką dzieci. Najstarsza dziewczynka Eveline miała 12 lat, a najmłodsze dziecko – 4 lata. Mieszkali w okolicach Kaiserbrücke [obecnie mostu Grunwaldzkiego], niedaleko od centrum, przy Garvestr. [obecnie ul. Kujawska]. Dom ten stoi do dzisiaj. Moja nowa szefowa była kobietą strasznie leniwą – nic jej się nie chciało robić. Nie pracowała, a jej mąż pracował w operze i pięknie grał na fortepianie. Zdążyłam dowiedzieć się od sąsiadek, że podobno sam sobie okaleczył nogę, aby nie iść na front. Coś tam na pewno było, bo nie żył w zgodzie z niemieckim prawem. Na drzwiach ich mieszkania wisiała wizytówka – obok nazwiska Seiller – „Kaufmann”, więc chyba był jakimś kupcem. Sama tego nie rozumiałam. Miał gabinet z biurkiem, ale bardzo standardowy. Poprzedni dom Sroków, w którym mieszkałam, był bardzo bogaty – widać było przepych i wygodę życia niemieckiego mieszczaństwa. A tutaj w porównaniu z tamtym

domem pachniało biedą i brudem. Faktycznie było bardzo brudno. Nie chciałam znowu podjąć pracy w niemieckim domu, ale powiedziano mi w urzędzie pracy, że mam wybór: albo praca, która „mnie wyróżnia” – czyli pomoc domowa w porządnym niemieckim domu, albo więzienie i obóz. Oczywiście wybór był prosty... Przebrnęłam już przecież przez więzienie i miałam tak niezwykle szczęście, jak ktoś zupełnie niemądry. Wiedziałam też, że w więzieniu czułam się psychicznie o wiele lepiej niż na wolności – w domu „porządnych Niemców”. Wychodząc na wolność płakałam. Niemcy myśleli, że to ze szczęścia, a ja płakałam dlatego, że musiałam rozstać się z drogimi towarzyszkami z celi, do których się bardzo przywiązałam.

Byłam najmłodsza z nich i one bardzo się o mnie troszczyły, a ja – jak mogłam – też im się odwdzięczałam. Zawsze udawało mi się zdobyć papierosa albo kawałek chleba od Niemców pracujących w tej samej pralni.

Zabrałam się do roboty w domu moich nowych chlebodawców. Trzeba było dobrze zakasać rękawy i doprowadzić mieszkanie do czystości. Gdy mi się to udało, to aż wszyscy domownicy wyrazili podziw, że jestem taka pracowita!

Zaczęła się wiosna, a z nią jak zwykle zaczęły odżywać nadzieje na lepszy byt i koniec tego wszystkiego, co się działo. Od moich przyjaciół otrzymałam list, że Bolek został aresztowany i siedzi w obozie koncentracyjnym Dachau, a Zygmunt został zabity w lasach kieleckich. Przez długie tygodnie opłakiwałam śmierć Zygmunta. Jak mogłam, to robiłam paczki żywnościowe i wysyłałam je do rodziny Bolka. Dużo nie mogłam, bo zarabiałam wtedy tylko 22 marki miesięcznie i musiałam się jakoś utrzymać. To akurat starczało na kino i bilety tramwajowe. Ubrania i tak nie mogłam kupić sobie w sklepie, bo musiałam posiadać specjalną Kleidungskarte, ale ja przecież nie miałam gdzie napisać o przysłanie mi zaświadczenia, że moja rodzina w Polsce takiej karty dla mnie nie pobiera. Trudno – musiałam zawsze z koleżankami coś pokombinować i jakoś chodziłam ubrana. Dostałam od mojej nowej szefowej stare suknie, przerabiałam je, jak mogłam i zawsze wyglądałam schludnie. Udało mi się nawet od jednego Rosjanina kupić ładną sukienkę i białe buciki, a do tego zrobiłam sobie z kolorowych skórzanych pasków ładną torebkę. Paski można było kupić bez kartek, a za sukienkę oczywiście zapłaciłam w ratach.

Moja szefowa dostawała na mnie kartki żywnościowe – takie, jak na swoje dzieci. Były to kartki młodzieżowe – czasami nawet pomarańcze i cukierki czekoladowe. Ale to się chowało tylko na urodziny i na święta. Urodziny w tym domu obchodziło się bardzo hucznie. Przyjeżdżała wtedy rodzina mojego szefa z Beuthen [obecnie Bytom], a mnie przedstawiali jako „flicht Mädchen” – bo widocznie zostali poinformowani o moim charakterze.

Gdy w domu byli goście, nie jadałam z nimi przy stole, ale kiedy byliśmy sami, to zawsze mnie zapraszano do wspólnego stołu. Gotowałam i szykowałam wszystkie posiłki, chodziłam na zakupy, sprzątałam i prałam, pomagałam dzieciom odrabiać lekcje i uczyłam ich historii. Moja szefowa jak raz usłyszała, jak ich uczę, że Breslau to nie Breslau, a Wrocław, a Oder to nie Oder – tylko Odra, to o mało z wrażenia nie padła. Jeszcze to wszystko działo się przy otwartym oknie. Ja się śmiałam, ale jej nie było do śmiechu!

W każdą niedzielę chodziłam ze Stasią i Haliną – jak była ładna pogoda – na Oswitz [obecnie Osobowice] opalać się. Tam przychodzili prawie wszyscy cudzoziemcy pracujący we Wrocławiu. Było nas w tym czasie bardzo dużo.

Nad Odrą w tym miejscu Niemców nie było. Nieraz stali bardzo daleko od nas i przez lunety oglądali nas jak jakieś dziwolągi. Wróciłyśmy do domu o godz. 21 – była to godzina policyjna dla Polaków i Rosjan. Te dwie narodowości były najbardziej szykanowane – trzeba było nosić specjalne znaki z literami „P” (Polak) i „R” (Rosjanin). Dla nas nie było wstępu do kin, teatrów, lokali – można było tylko pójść do gospody i to nie każdej. W ogóle nie wolno było chodzić nigdzie tam, gdzie chodzili Niemcy. Nie mówię już o Żydach we Wrocławiu, którzy nawet przez ulice nie mogli przechodzić. Było ich w tym czasie bardzo niewiele.

Spotykałam nieraz na ulicy jakąś młodą przestraszoną dziewczynę z opuszczoną głową i gdy podchodziłam, pytając o coś, to uciekała szybko, bojąc się ze mną rozmawiać. Spotykałam i starszych ludzi, ale kontaktu z nimi nie mogłam nawiązać – nie miałam sposobności.

Okazja do nawiązania kontaktu z wrocławskimi Żydami nadarzyła się dopiero w maju 1944 roku. Czas upływał. Po bitwie stalingradzkiej Niemcy byli trochę przytłumieni. Chodziłam do kina i oglądałam ich Wochenschau (kroniki tygodniowe) – już pokazywali ich wojska w taktycznym odwrocie na Zachód. My, cudzoziemcy, wszyscy się z tego powodu bardzo cieszyli i chodziliśmy z dumnie podniesionymi głowami. Ja nie mogłam usiedzieć na miejscu. Upraszałam moich gospodarzy, aby mnie puszczali w wolnym czasie do mojej kuzynki – wiedzieli, że mam taką we Wrocławiu. Gdy wszystko w domu było zrobione, wtedy spotykałam się z naszą paczką i znowu wracało do mnie życie – byłam szczęśliwa, że chociaż przez chwilę nie widzę wokół siebie zniechęconych ludzi. Wtedy z całego serca nienawidziłam wszystkich Niemców, bo nie wyobrażałam sobie, jak można dopuścić do tego, do czego doprowadzili. Winę przypisywałam całemu narodowi. Nie mogłam zrozumieć ich obojętności wobec życia tylu ludzi traconych niewinnie w obozach i komorach gazowych. Oni udawali, że nie wiedzą.

Potem faktycznie przekonałam się, że część z nich mogła nie wiedzieć! Bo to byli ludzie, którzy nie interesowali się niczym innym, tylko swoimi sprawami, albo byli bardzo przestraszeni tym wszystkim, co się działo. Strasznie się bali, a terror hitlerowski był bardzo silny. Trzeba było uważać na każde słowo, które się mówiło i do kogo się mówiło. Ja – mając siedemnaście lat – nie mogłam jeszcze o tym dobrze wiedzieć.

Jak już wspomniałam byłam gospodynią u rodziny niemieckiej, składającej się z sześciu osób. Pewnego dnia gestapo przyszło do moich gospodarzy. Byłam wtedy sama w domu – szef był w pracy, dzieci w szkole, a najmłodsze z szefową na spacerze. Gestapowcy zapytali o mojego szefa – odpowiedziałam, że jest w pracy, a szefowa na spacerze. Zapytali, kim jestem, a ja powiedziałam, że gospodynią domową.

Wyjaśnili, że przyszli na rewizję, na co ja im odpowiedziałam, że muszę zawiadomić o tym mojego szefa. Nie dali mi dojść do słowa i zaczęli buszować w sypialni – ja natomiast weszłam do gabinetu, skąd zadzwoniłam do szefa i zawiadomiłam o „wizycie”. Mój szef natychmiast przyjechał do domu i został aresztowany. W ogóle nie wiedziałam, o co chodzi i dowiedziałam się o tym dopiero później. Mój szef – jak już pisałam – miał piękny fortepian, na którym ładnie grał, udzielając nawet prywatnych lekcji gry na fortepianie. Cieszyłam się jego sympatią, bo nawet obiecał mi, że jak będę się dobrze sprawować, to mi również udzieli kilku lekcji i nauczy grać na fortepianie. Szef marzył o tym, żeby przenieść się z całą rodziną nad Ren, blisko granicy francuskiej.

Po aresztowaniu szefa jego żona stała się dla mnie o wiele lepsza, a dzieci grzeczniejsze. Przyjaciółka mojej szefowej – Frau Brand – kiedyś mi powiedziała, że mój szef prowadził jakieś lewe interesy. Po jego aresztowaniu zapytałam Frau Brand, dlaczego został aresztowany – odpowiedziała mi, że robił jakieś machlojki.

Szef siedział w więzieniu przez kilka miesięcy – przez ten czas jego żona zabierała mnie wieczorami do kina, ale nie zwierzała mi się. Jej mąż został wypuszczony z więzienia z powodu choroby serca. Po powrocie pojechał do Bad Kudowa [obecnie Kudowa-Zdrój], do sanatorium, ale już w mundurze Wehrmachtu.

Ja – jak zwykle w środy i niedziele – spotykałam się ze Stasią i Haliną. Kontakty z Częstochową stawały się coraz rzadsze. Wkrótce Halina i Stasia dostały urlop za dobre sprawowanie. Ja nie – bo przecież wcześniej siedziałam w więzieniu i byłam już na „czarnej liście”. Halina zabrała Stasię do Białej Podlaskiej, a po drodze wstąpiły do Częstochowy, do Bolka. Spotkały się tylko z jego siostrami i z matką. Byłam załamana, bo bardzo chciałam pojechać do Polski. To znowu było związane z ryzykiem, ale dostawało się kartę urlopową i Niemcy sami wyrabiali nam dokumenty, a o polskie przecież nikt nie pytał.

Była już połowa 1943 roku. Zbliżała się jesień. Czekałam na powrót moich przyjaciółek z urlopu. Wreszcie wróciły – pełne wrażeń, zadowolone i opalone. Były przecież nad Bugiem. Opowiedziały mi o działalności naszych partyzantów – były pełne nadziei, że to wszystko niedługo się skończy. Ja nadal szukałam kontaktów z ludźmi, którzy się ukrywają ze względu na swoje żydowskie pochodzenie.

Nieraz widziałam Niemców tak podobnych do Żydów, że nie mogłam uwierzyć, że to nie są Żydzi. Trzeba jednak przyznać, że wielu Niemców było do nich podobnych i to do takich typowych, a więc teoria o rasie i wybranym narodzie niemieckim, była kompletną bzdurą! Prawdziwych Niemców – wysokich blondynów – zgodnych z ich rasowym schematem, było niewiele. Przecież przez okres trzech lat stale wśród nich się obracałam.

Ich teoria o jakiejś czystej rasie to bujda wyszana z palca – tym bardziej, że Niemki to bardzo kochliwe i namiętne kobiety.

Pewnego dnia nasza paczka postanowiła zrobić sobie prywatkę w mieszkaniu Florka – już nie pamiętam, czyje to były imieniny. Florek pracował w rzeźni, miał dużo pieniędzy i wynajmował prywatne mieszkanie. Trzeba też powiedzieć, że był spokrewniony z Niemcami z Kępna – tak więc miał fory. Była nas spora gromadka, a wśród nas jeden chłopiec, w wieku około 22 lat, który miał na imię Heniek. Tańczyliśmy przy adapterze, śpiewaliśmy arie operowe i najnowsze szlagiery niemieckie. Heniek mówił, że jest warszawiakiem. W pewnej chwili poczuł się zmęczony. Chciał to powiedzieć po niemiecku, ale mu nie wyszło i powiedział po żydowsku. Nikt nie zwrócił na to uwagi, ale ja się strasznie ucieszyłam – bo wiedziałam, że jest jeszcze ktoś inny, oprócz mnie i Stasi. To nie było pożądane, abyśmy o tym wiedzieli, ale stało się... Ja nie wytrzymałam i zapytałam go po cichu, skąd tak dobrze mówi po żydowsku? Trochę się speszył, ale powiedział: „Przecież ja mówię po niemiecku!”. Zaśmiałam się. Oboje strasznie rozrabialiśmy – nikt nie wiedział, co się z nami dzieje. Nawet Stasia, bo ja jej nic nie mówiłam. Heniek zrozumiał oczywiście, czym spowodowany był ten mój humor. Wszyscy zaczęli nam dokuczać, że zakochaliśmy się w sobie, a mnie było daleko do tego. Wyszłam razem z Heńkiem, który odprowadził mnie do domu. Po drodze opowiedział mi, że nie jesteśmy jedynymi Żydami we Wrocławiu, bo jest jeszcze kilka osób, które on zna i obiecał mi, że mnie z nimi zapozna. Spotkałam się z nim kolejnego dnia, kiedy miałam wychodne i już wtedy bardzo go prosiłam, aby jak najszybciej mnie do nich zaprowadził. Umówiliśmy się, że spotkamy się w środę przed Domem Towarowym Wertheima [obecnie „Renoma]. Chciałam przyjść ze Staszka, a on miał przyprowadzić swoich żydowskich przyjaciół. I tak właśnie się stało.

Heniek przyszedł z Jankiem i Staszkiem – rodzonymi braćmi, którzy w ogóle nie byli do siebie podobni. Wyglądali jak Ukraińcy – czarni i opaleni. Staszek jeździł traktorem z Młyna Maria, a Janek też tam pracował. Zaprosili nas do mieszkania, które znajdowało się w budynku młyna. Tam mieszkała Krysia – ich rodzona siostra z mężem Józkiem. Był jeszcze jeden bardzo sympatyczny chłopak niskiego wzrostu, którego nazywaliśmy „Mały Jasio”. Obiecałyśmy sobie ze Stasią, że jak wejdziemy do tego mieszkania, to zaśpiewamy piosenkę w języku jidysz z filmu żydowskiego z Molly Picon⁹.

Wszyscy cieszyliśmy się i płakaliśmy na przemian – jak małe dzieci. Czuliśmy się jak jedna rodzina. Okazało się, że Krysia w ogóle nie umie mówić po polsku, bo wychowywała się w bardzo religijnym domu, a jej bracia – Janek i Staszek już jako mali chłopcy więcej przebywali wśród dzieci polskich, gdzie nauczyli się języka. Z tą Krysią to była tragedia, bo mogła przebywać tylko w naszym towarzystwie albo wśród Niemców. Raz zaryzykowałam i zabrałam ją na plażę na Osobowicach, a tam było już całe grono moich polskich znajomych. Krysia czuła się trochę zażenowana, dlatego bardzo mało mówiła. Było mi jej żal, że taka ładna kobieta, a nie potrafi dobrze mówić po polsku. Ona chyba wcale nie chodziła do szkoły. Szybko spotkałam się z pytaniem ze strony moich znajomych – co to za jedna? Czy czasami nie jest Żydówką? Jak mogłam, to kręciłam – mówiłam im, że to właśnie Polka, ale niemiecka i dlatego tak słabo mówi po polsku i akcent u niej niemiecki. Oni mnie poprawiali – chyba żydowski? Uśmiechnęłam się bezczelnie i powiedziałam, że chyba ja lepiej wiem, jaka ona jest, bo to moja znajoma! I tak ucięłam dyskusję.

Po tym incydencie już nigdy nie zabrałam Krysi do żadnego polskiego towarzystwa. Na szczęście z powodzeniem mogła przebywać wśród Niemców i tak było w rzeczywistości, bo Krysia pracowała z samymi Niemcami. Jej przybrany mąż – Józek – to był kawał chłopca. Wysoki, barczysty, silny – powoził wołami w młynie, bo nie mieli tam koni. Dużo z nim było śmiechu. Nieraz jak woły stanęły mu na Schweidnitzer Str., w samym centrum Wrocławia, to można było pękać ze śmiechu. Tak więc humorystycznych momentów nie brakowało w naszym życiu.

Jednym słowem ja i Stasia odnalazłyśmy wreszcie przyjaciół, z którymi można było rozmawiać otwarcie i nie kłamać. Trzeba przyznać, że w tamtych czasach bardzo szybko nauczyłam się kłamać i grać jak artystka. Jednak pomimo tego cały czas brzydziłam się

⁹ Molly Picon (1898–1992) – żydowska aktorka teatralna i filmowa, gwiazda teatru i filmu w języku jidysz. Przed II wojną światową zagrała w Polsce główne role w dwóch filmach kręconych w języku jidysz: „Judel gra na skrzypcach” (Judl mitn Fidl, 1936 r.) i „Mateczka” (Mamele, 1938 r.). Po wojnie zagrała w ekranizacji „Skrzypka na dachu” (swatka Jente, 1971 r.).

kłamstwem i dlatego tęskniłam do ludzi, wśród których można było mówić prawdę. Obiecałam sobie, że jak ta straszna wojna się skończy, to nigdy już nie skłamię – tak mi to oszukiwanie dokuczało.

Po jakimś czasie poznałam kolejne żydowskie małżeństwo – Julę i Janka. Byli uciekinierami z Lublina. Jula była podobna do Żydówki, bardzo inteligentna i miała piękną polską wymowę. Obie z Krysią uzupełniały się – to, co brakowało Krysi, miała Jula i na odwrót – to, co brakowało Juli, miała Krysią. Jula pracowała w polskim towarzystwie, wśród samych Polek. Dziwne, że nikt nigdy jej nic nie powiedział. Miała wielkie szczęście i to tylko dlatego, że była bardzo mądra i inteligentna. Jej mąż też był inteligentnym człowiekiem i jego właściwie nic nie zdradzało – ani fizjonomia, ani wymowa. To żydowskie małżeństwo przeżyło bardzo spokojnie we Wrocławiu kilka lat czekając na wyzwolenie.

Po wojnie założyli restaurację przy ul. Jedności Narodowej, a po roku wyemigrowali do Stanów Zjednoczonych, do Chicago. Ich przyjaciele, którzy im pomogli przeżyć, do dzisiejszego dnia mają z nimi kontakt i odwiedzają ich.

Ucieczka

Postanowiłam podjąć próbę nowej ucieczki. Pewnego dnia powiedziałam sobie: „koniec, nic mnie to nie obchodzi, uciekam do Szwajcarii”. Byłam w tym wszystkim bardzo naiwna – przecież nawet nie wiedziałam, gdzie są granice, nie miałam w ogóle jakichkolwiek kontaktów, ani pieniędzy, ani znajomych. Coś mnie goniło i już nie mogłam się z tego wyzwolić. Pewnego pięknego popołudnia zapakowałam swoje rzeczy do niestylizowanej, ładnej, czarnej, lakierowanej walizy. A miałam tylko tyle rzeczy, że zmieściłyby się do siatki na zakupy. Ale podobała mi się ta waliza, którą właśnie dostałam w prezencie od kolegi. Zamknęłam mieszkanie, a klucze wrzuciłam do mieszkania przez otwór na listy. W kuchni, na stole, zostawiłam parę słów wyjaśnienia dla mojej szefowej – że bardzo tęsknię za domem i muszę tam pojechać – tym bardziej, że nie dostałam urlopu. Takie było moje wyjaśnienie i dodałam, że już nigdy do nich nie wrócę. Wieczorem wsiadłam do pociągu kursującego z Wrocławia do Halle – bo tylko na taką trasę wystarczyło mi pieniędzy. W Halle zostawiłam swoją walizkę w przechowalni i poszłam na miasto. Szybko spotkałam Polaków ze znakiem „P”, a potem dziewczynę, którą zaczęłam. Zaczęłam z nią rozmawiać – najpierw patrzyła na mnie nieufnie, a potem mi zaproponowała, żebym poszła z nią do jej szefa. Ta dziewczyna, Stefa, bardzo mi pomogła – załatwiła pracę u swojego szefa, który prowadził warsztat

krawiecki i kuśnierski, gdzie szyli futra na front dla oficerów niemieckich. Pracy było bardzo dużo, a futra przychodziły z całej podbitej przez Niemców Europy. Były wśród nich łapki karakułowe i różne inne – najprawdopodobniej zrabowane mieszkańcom podbitych krajów i więźniom z obozów. Były też małe, dziecinne futerka... Żał było te futra pruć – tak się czułam, jakbym sama była winna, że te biedne dzieci zostały zabite i obrabowane z tych swoich mięciutkich futerek.

Mój szef – jak przystało na przyzwoitego Niemca – musiał mnie zameldować. Pewnego dnia to zrobił i wtedy cała moja trzydniowa idylla się skończyła. Gestapo od razu się do mnie dobrało i wszystkie moje plany wzięły w łeb. Bo ja już namówiłam Stefę, aby razem ze mną uciekała, jak zarobimy parę groszy, bo o kradzieży czegokolwiek nie chciałam nawet słyszeć! Brzydziłam się kradzieżą, nawet u Niemców.

Nie mogłam się przemóc do takiego czynu, co mnie właśnie zgubiło. Bo trzeba było u Stefy posiedzieć cicho kilka dni, potem coś zorganizować i razem wiać. Razem byłoby nam różniej, a poza tym Stefa była fajną kumpelką. Ale ja byłam bardzo dziecinna. Na gestapo zaczęło się przesłuchanie – dostałam takie lanie, że byłam cała w siniakach, pobita i skopana. W takim stanie wrzucono mnie do celi więziennej w Halle.

Oczywiście więźniowie od razu wyczuli, że jestem uciekinierką i chcieli moją Arbeitskarte, ale ja przecież postanowiłam zmienić swoje imię i nazwisko. Nie chciałam się przyznać do Eugenii Nowak – chciałam być koniecznie Sławą Karewicz. Po kilku dniach wzięli mnie na przesłuchanie i już wiedzieli, że jestem z Wrocławia, a także to, że uciekłam. Widocznie Stefa musiała swojemu szefowi wyjawić, że tam mieszkałam. Oczywiście miałam świadomość, że tutaj trzeba się przyznać do Wrocławia, dopóki nie jest za późno.

Posadzili mnie w osobnej celi. Może współtowarzyszki niedoli wyczuly we mnie jakąś grubszą szyszkę, bo jeżeli gestapo już kogoś posadziło osobno w celi, to chyba nie było za co. Po dwóch tygodniach po przesłuchaniu na gestapo powiedziano mi, że zostanę wysłana do obozu koncentracyjnego Spergau¹⁰. Potem skierowano mnie do wspólnej celi, która nie miała więcej jak 20 m², a przebywało tam ponad 20 kobiet. W dzień wyprowadzano nas do pracy. Pracowałam w jakiejś fabryce, ale nie jestem w stanie określić jakiej. Tam zamiatałam korytarze. Zawsze znalazł się ktoś litościwy i dał papierosa. Wtedy nie paliłam, ale papierosy oddawałam starszym od siebie kobietom i w ten sposób zyskałam sobie ich sympatię. Moje współtowarzyszki z celi bardzo mnie polubiły – każda z nich wołała na mnie

¹⁰ Od 1940 r. w Spergau działał obóz pracy przymusowej (*Zwangsarbeiterlager*), w 1942 r. został przekształcony w obóz wychowawczy (*Erziehungslager*) pod nadzorem SS; przebywało tam ok. 1850 więźniów, zatrudnionych głównie w Leuna Werke.

„synowa”. Poza tym ładnie śpiewałam, znałam wszystkie modlitwy i litanie na każdą okazję i mogłam poprowadzić nabożeństwa. Każdego dnia wszystkie żarliwie się modliłyśmy. Pewnego dnia w naszej celi osadzono bardzo ładną kobietę, Żydówkę. Jej mąż był Niemcem, mieli troje dzieci i prowadzili aptekę. Opowiadała mi, że wcześniej mąż stale ją wykupywał od gestapo, ale teraz nie mieli już pieniędzy i dlatego ją zabrali. Bardzo mi było jej żal, ale nie mogłam nic dla niej zrobić – tym bardziej, że instynktownie czułam, że nie można mieć do niej zaufania. Pewnego dnia powiedziała: „Czy nie lepiej byłoby, gdybyś ty za mnie zginęła? Przecież ja mam troje dzieci, które mi zabrano i nawet nie wiem, gdzie one teraz są!”. Powiedziała mi nawet to, czego nikt mi nie powiedział w tamtym czasie – że ja na pewno jestem Żydówką. Nie dawałam tego po sobie poznać, ale było mi bardzo przykro, że właśnie od niej słyszę takie słowa. Jednak pomimo wszystko nie stroniłam od niej, a po kilku dniach ją zabrali. Było mi jej żal, ale musiałam być w stosunku do niej bardzo ostrożna.

Nazajutrz do naszej celi przydzielono dziewczynę – też Stefanię. Była śliczna, wysoka, smukła i bardzo miła. Mówiono o niej, że ją posadzono, bo ktoś ją oskarżył o żydowskie pochodzenie. Jej matkę też uwięziono, ale siedziała w innej celi. Takie to były czasy, że za pochodzenie narodowościowe mordowano Bogu ducha winnych ludzi. Do Stefy poczułam niesamowitą sympatię i zaufanie. Ona i jej matka pochodziły z Włocławka, ale ich prawdziwego nazwiska do dzisiaj nie znam. Może właśnie te moje notatki przyczynią się do odnalezienia tych moich przyjaciółek. W naszej celi zaczęło się szemranie na Żydów. Głupie baby plotły trzy po trzy, że kto to widział, aby Żydówki katolickie imiona sobie przywłaszczały i nosiły nazwiska po katolickich nieboszczykach! Zastanawiałam się, jaką taktykę przyjąć wobec całego towarzystwa. Aż strach, jakie kobiety potrafiły być złośliwe – nawet w tak ciężkiej i beznadziejnej chwili. Matce Stefy bardzo dokuczano w jej celi. Pewnej nocy położyłam się obok Stefy i zaczęłam jej szeptać do ucha, aby do niczego się nie przyznawała, choćby ją mieli pokroić na kawałki. Bo Stefa i jej matka zostały zadenucjowane przez pewną idiotkę, która razem z nimi pracowała. To była prostytutka bez czci i wiary. Ale całe szczęście, że ani Stefa, ani jej matka, nie przyznały się do niczego. Stefie obiecałam, że jej mamie dam znać, aby się trzymała. Wkrótce zabrali mnie do obierania ziemniaków i jarzyn, co robiło się na korytarzu. Tak więc mogłam przy okazji porozmawiać z więźniarkami z tej celi, gdzie siedziała matka Stefy. Można było również podać gryps, ale z tym podaniem dla matki Stefy to nie było takie proste, bo diabli wiedzą, skąd po całym więzieniu rozniosło się, że te dwie kobiety są podejrzane jako Żydówki. Musiałam się mieć na baczności, ale jakoś mi się udało i to, co chciałam, dotarło do matki Stefy. Staruszka dobrze się trzymała, choć gestapo obie męczyło, codziennie brało na przesłuchania, gdzie

były bite. Stefa była razem ze mną i we mnie miała jakąś podporę, ale jej biedna matka tego nie miała. Pewnego dnia po przesłuchaniu Stefa oświadczyła, że posyłają ją wraz z matką do obozu w Spergau. Faktycznie za kilka dni je zabrano, a ja znowu zostałam sama.

Był rok 1943, a właściwie prawie jego koniec. Dni mijały za dniami. Wreszcie znowu sensacja – zaczęło się bombardowanie Halle. Nas, więźniów, nie wypuszczano z cel, a moja cela mieściła się na drugim piętrze. W czasie bombardowania trzęsło całym budynkiem, na prawo i lewo. Zaczęłyśmy szturmować drzwi, ale nikt na to nie reagował – wszyscy strażnicy schowali się. Ponieważ do wszystkiego można się przyzwyczaić, także my z czasem zaczęłyśmy powoli przyzwyczajać się do bombardowania. Miałyśmy przy tym tę satysfakcję, że nareszcie coś się dzieje i Niemcy mają pietra. Zrobiłyśmy się trochę pewniejsze siebie – właśnie te bombardowania podtrzymywały nas na duchu.

Pewnego dnia, gdy mnie zabrali do obierania jarzyn, zarzuciłam na siebie płaszcz, bo było mi zimno, a nosiłyśmy jeszcze nasze cywilne ubrania. Komendant więzienia akurat nadszedł i uderzył mnie w twarz, mówiąc przy tym, że wyglądam jak polski oficer. Przyjęłam tę rzekomą zniewagę ze spokojem i honorem. Komendant widocznie był na tyle inteligentny, że musiał to zauważyć. Usiadłam, włożyłam ręce w rękawy, żeby dał mi spokój, po czym zaczęłam obierać ziemniaki. Po jakimś czasie powrócił, przyjrzał mi się uważnie i odszedł nic nie mówiąc. Pech chciał, że na drugi dzień zabrano mnie wraz z kobietami z mojej celi do sprzątnięcia w kantynie. Dostałam tam od jednego Niemca kilka papierosów, które ze sobą przyniosłam dla koleżanek z celi. Na korytarzu zrewidowali mnie, a strażniczka znalazła te papierosy i je zabrała. Oczywiście nie omieszkała o tym donieść komendantowi. Ten przyszedł do naszej celi akurat wtedy, kiedy na prawie zupełnie zimnym kaloryferze suszyłyśmy plasterki ziemniaków (coś w rodzaju frytek). Potem zjadałyśmy te półsurowe ziemniaki, bo kaloryfery ledwo grzały. Komendant kazał mi iść za sobą. Tam w dyżurce u strażnika wydał polecenie, żebym położyła się twarzą do poręczy krzesła i wystawiła tyłek. Powiedział, że należy mi się 50 pejczów na siedzenie. Strażnik już miał zamiar wykonać rozkaz komendanta, ale ten powstrzymał go, tylko kopnął mnie w tyłek tak, że długo czułam ból, bo był bardzo silnym mężczyzną. Potem kazał mnie zaprowadzić z powrotem do celi. Tam już wrzało i znowu moje towarzyszkini niedoli miały ze mną problem, bo musiały robić mi okłady. Ja naprawdę byłam już bliska rezygnacji i bardzo często myślałam o ucieczce z więzienia. Zawsze mówiłam sobie, że lepiej zginąć podczas ucieczki, ale za to honorowo. Za kilka dni odesłano mnie do obozu Spergau, gdzie przebywałam do wiosny 1944 roku.

Obóz Spergau

Do obozu przywieziono nas autobusem – nie przesadzam – ładnym, porządnym autobusem. Kazano nam wysiadać w Spergau, gdzie od razu dano nam do zrozumienia, gdzie jest nasze miejsce. Zagoniono nas do olbrzymiej kantyny. Tam trzeba było rozebrać się do naga i przeparadować przed komendantką obozową i całą świtą gestapowców, a także różnego autoramentu łajdaków i morderców. Zabrano nam wszystkie rzeczy i po spisaniu naszych danych personalnych zagoniono do łaźni.

Jeszcze my – młode dziewczęta – przechodzące całkiem nago przed tymi łajdakami, to było pół biedy, ale staruszki z ciałami poważnie zniekształconymi przez czas – te dopiero czuły upokorzenie. Staraliśmy się podtrzymywać je na duchu. Podczas kąpieli też nam dano odpowiednią szkołę – raz woda była gorąca – tak, że można było się poparzyć, a potem raptownie puszczano na nas zimny tusz. Po tej kąpieli zagoniono nas do olbrzymiej komory dezynfekcyjnej, gdzie ścinano nam włosy do połowy ucha. Na szczęście w samą porę nadbiegła Stefa i nie pozwoliła dziewczętom pracującym w dezynfekcji ściąć mi włosów. Jak się okazało Stefa pracowała w obozowym biurze, w kancelarii i stąd wiedziała, że ja już jestem w obozie. Znalazła mnie w ostatniej chwili. Oczywiście na początku musiałam włosy dobrze ukrywać pod chustką, aby strażniczki tego nie zauważyły. Stefa też miała swoje krucze warkocze – okazało się, że miała dużo szczęścia, bo dziewczyny pozwoliły jej zachować swoje włosy. Jak zaczęła pracować w biurze, to strażniczki nic już nie mówiły. Stefa była starsza ode mnie o kilka lat i dobrze znała język niemiecki, bo uczyła się go w gimnazjum. Teraz to jej się bardzo przydało. W ogóle ta dziewczyna miała wyjątkowe szczęście.

Stefa wystarała się o to, żeby skierowali mnie do sztuby, gdzie była jej matka. Mogłam wtedy zaopiekować się staruszką. W sztubie mieszkało nas 24 – nasze prycze były piętrowe, a ja – jak zwykle jako jedna z najmłodszych – spałam na górze. Wśród nas przeważały Polki, było też kilka Rosjank, z którymi bardzo dobrze nam się żyło. Rosjanki były bardzo solidarne i wytrzymałe tak, jak Polki. Była też jedna Holenderka, która nazywała się Petronela. Z tą Holenderką bardzo się zaprzyjaźniłam – wszędzie byłyśmy razem. Oczywiście matki Stefy pilnowałam jak oka w głowie. Na apelu starałam się zawsze być jak najbliżej staruszki, a do pracy maszerowałyśmy w jednym szeregu. Trzeba przyznać, że trzymała się dzielnie. Naszą blokową była Niemka – bardzo ładna i miła dziewczyna. Została aresztowana za zakazaną miłość do Francuza i odesłana do obozu. Wiedziałam, że mnie polubiła i starałam się pozyskać jej sympatię. Była dla nas więźniarek dobra, ale

ukrywała to pod pozorem wrzasku, naśladowując inne strażniczki obozowe. Były jednak chwile, kiedy była dobra i szczerą, a wtedy trzeba było to wykorzystać. Ja oczywiście postarałam się o to i przy jej pomocy paroma kopniakami w tyłek, zostałam pewnego dnia odesłana do pracy w kuchni. Praca tam była bardzo ciężka, ale przynajmniej można było najeść się do syta. Kucharzem, który zarządzał, był Słowak – bardzo dobry i energiczny chłop. Jak mnie tylko zobaczył, to się przestraszył i nie dał mi się od razu najeść do syta, bo bym chyba umarła z przejedzenia. Kazał mi jeść szpik kostny. Mówił: „To nie zaszkodzi, tylko postawi cię na nogi. Inaczej to zdechniesz”. Pracowałam od świtu do późnej nocy.

Gdy przychodziłam do sztuby, to zawsze miałam poukrywane w spodniach gotowane ziemniaki. Zawiązywałam nogawki od dołu sznurkami i tak przenosiłam do naszej sztuby kawałki chleba, ale najczęściej gotowane ziemniaki. Zawsze musiałam brać 24 – chociażby po jednym ziemniaku dla każdej z nas. Ze Stefą widywałam się od czasu do czasu, bo mieszkała w innym bloku. Więcej ją na żadne przesłuchania nie brali. To było dla mnie najważniejsze. Stefa jako jedyna wiedziała, kim jestem i pod żadnym pozorem nie wolno jej było przyznawać się do niczego. Dokumenty miała w porządku i Niemcy nie mogli jej nic zrobić. Zawsze ją stawiałam sobie za wzór mówiąc, że przecież ja tyle przesłam i zawsze trzymałam się dzielnie. Potem spotykałam jeszcze wiele Żydówek na swojej drodze, ale nigdy żadnej nie powiedziałam całej prawdy o sobie. One ze sobą rozmawiały po żydowsku, a ja udawałam, że nic nie rozumiem. Serce mnie stale bolało, że im nie mogę w żaden sposób pomóc, ale nie miałam innego wyjścia, jak trzymać język za zębami. Mogłam im pomóc tylko w ten sposób, że nie pozwalałam ich obrażać przez nasze niektóre „niewiasty”, które były na poziomie ludzi pierwotnych i nawet w takim miejscu, jakim był obóz koncentracyjny, potrafiły cieszyć się z nieszczęścia Żydów – mówiąc, że nareszcie Hitler zrobi z nimi porządek. Były to umysły bardzo prymitywne i całe szczęście, że była ich zdecydowana mniejszość. Bardzo dziwne, że ja im nigdy nie podpadłam...

Mój więzienny szef – mam tu na myśli kucharza obozowego – przydzielił mnie do rozlewania kawy rano, podczas śniadania. Była to czarna, gorzka lura, którą nalewało się do konwi, a więźniowie zabierali je z kantyny i potem rozdzielali między sobą. Obiad dawano nam na miejscu pracy, a wieczorem dostawało się w kantynie kawałek chleba z margaryną albo czerniną (?) i to miało wystarczać na 24 godziny. Jak tylko trochę oswoiłam się ze swoją pracą, od razu zaczęłam zastanawiać się nad tym, jak pomóc innym więźniom. Mężczyźni byli gorzej traktowani jak my – po prostu umierali z głodu. Zupa była tak rzadka, że jedno ziarnko kaszy gonilo drugie. W porównaniu z tym, co się dostawało do jedzenia w więzieniu w Halle, to tam było jak w pensjonacie. A tu w obozie głód nie do opisania. Pewnego dnia,

jak mężczyźni przyszedli po kawę, to dałam im w jednej konwi – zamiast kawy – gotowane ziemniaki. Tak mi się udawało kilkakrotnie. Kucharz o tym wiedział, ale to był równy chłop i udawał, że nie widzi, ale w głębi duszy był zadowolony. Jednak pewnego dnia nastąpiła wsypa i chłopcy dostali porządne lanie. Bito ich na naszych oczach w kantynie, ale mnie nikt nie wydał. Ja już byłam gotowa, żeby ujawnić, że to zrobiłam, ale w ostatniej chwili kucharz mnie powstrzymał, a potem sklął, ile wlało! Na drugi dzień wszystkich nas wyrzucono z kuchni, a na nasze miejsce przyszły nowe więźniarki.

Zostałam wcielona do komanda i chodziłam razem z matką Stefy do pracy w fabryce „Leuna Werke”¹¹. Tam zawsze zabierano nas do sprzątnięcia korytarzy. Pewnego dnia majster zawołał mnie do posprzątnięcia jego dyżurki i położył jabłko na biurku. Oczywiście czułam, że to niby dla mnie, ale bałam się zjeść. Na drugi dzień to samo, dopiero na trzeci dzień na jego wyraźne polecenie zjadłam jabłko. Potem mi przyniósł wełniane skarpety. Nogi miałam w opłakanym stanie i nie mogłam chodzić w drewniakach bez skarpet. Pewnego dnia, wracając z komandem z roboty, zdjęłam z nóg drewniaki i je wyrzuciłam. Po prostu wolałam chodzić boso po śniegu, bo moje nogi tak spuchły, że nie było wiadomo, gdzie jest stopa, a gdzie palce od nóg. Znowu pomogła mi blokowa, która wrzaskiem i kopniakami przyprowadziła mnie do strażniczki, która z kolei szturchańcami zaprowadziła mnie do szopy, gdzie leżały całe stosy butów. Tam kazała mi wybrać obuwie odpowiednie dla moich nóg. Zdecydowałam się na wysokie, sznurowane, brązowe buciki i poczułam się jak w siódmym niebie! Skarpety już miałam, ale jeszcze brakowało mi biustonosza – bo takich też nie wolno było nosić. Nasze ubranie składało się z kombinezonu z barchanu (majtki razem z koszulą), a na to bluza drelichowa, na plecach której widniało duże „E” oraz spodni drelichowych i drewniaków.

Nadchodziły święta Bożego Narodzenia i postanowiłyśmy przemycić do naszej sztuby jakąś choinkę. Ja i Petronela przeniosłyśmy pod koszulami trochę świerku. Podczas Wigilii postawiłyśmy naszą choinkę na stole i podzieliłyśmy się kromką chleba. Matka Stefy pokroiła kromkę na 24 części i w ten sposób składałyśmy sobie nawzajem życzenia. Na całe szczęście nikt nas nie przyłapał na świętowaniu, ale dla bezpieczeństwa cały czas siedziałam przy drzwiach na czatach.

¹¹ Leuna Werke – zakłady te zostały wybudowane w 1916 r. pomiędzy Merseburgiem a Spergau; w czasie II wojny specjalizowały się w produkcji benzyny lotniczej; pracowali tam robotnicy przymusowi i jeńcy wojenni; pierwszy nalot aliantów miał miejsce w maju 1944 r.

Zaraz po świętach nasze komando zostało skierowane do pracy w stołówce fabrycznej, przy obieraniu ziemniaków. Zaprowadził nas tam strażnik, który cieszył się najlepszą opinią w obozie. Pochodził z Bydgoszczy i dobrze mówił po polsku. Ziemniaki obierałyśmy w piwnicy i tam właśnie strażnik przyniósł nam konew z zupą. Kazał mi tę zupę rozdzielić między wszystkie. Petronela tak się jej najadła, że w nocy dostała gorączki i biegunki i trzeba ją było odprowadzić do lazaretu. Innym kobietom jakoś ta zupa nie zaszkodziła. Co ja przeżyłam podczas rozlewania tej zupy – o mało mnie nie udusiły ze szczęścia, bo to był rosół z makaronem! Potem codziennie chodziłam do Petroneli i jak mogłam, to ją pocieszałam. Zawsze mi się udawało i przemykałam się pomiędzy barakami jak kot.

Chłopcy z męskiego obozu nie zapomnieli jednak o mnie, a najbardziej Gienek, który był kalifaktorem¹². Pewnego dnia przemycił do żeńskiego obozu paczkę żywnościową, która była przeznaczona dla mnie. Niestety dostała się w ręce jakiejś starej panny, która nic z niej nie chciała oddać – nie tylko mnie, ale nikomu. Głód dokuczał nam wszystkim, ale najważniejsze było to, że w tym wszystkim potrafiłyśmy zachować swoją godność. To, co zrobiła ta kobieta, należało do rzadkości w naszym obozie. Na pewno zasłużyła sobie na naszą nienawiść, bo nigdy nie wiadomo, czego od takich ludzi należy oczekiwać. Zawsze lepiej przy takich zachować ostrożność. Tak też robiłyśmy. Czy ona to odczuła? Kto ją tam wie...

Dnie mijały za dniami i stale wyczekiwałyśmy jakiegoś cudu, który by nas od tego barbarzyństwa wyswobodził. Coraz częściej zdarzały się naloty. Nieraz całą noc nie można było oka zmrużyć. Nalot za nalotem i okropne bombardowania. Bombardowano zakłady „Leuna Werke” i to całkiem skutecznie. Nasz obóz oszczędzono – widocznie dobrze wiedzieli, że to obóz pracy. Ciężko nam było pracować po zupełnie nieprzespanych nocach, ale nikt nie mógł nam zabronić odczuwania radości w związku z tym, co się dzieje. Poza tym młodość robi swoje – ja zupełnie nie czułam zmęczenia. W ostatnich dniach 1943 roku naloty stały się bardzo częste – miasto bombardowano dosłownie co noc. W nasz obóz nigdy żadna bomba nie trafiła.

Zbliżała się wiosna 1944 roku, a wraz nią nadzieje na poprawę naszego losu. Pod koniec marca zostałam zwolniona z obozu i przeniesiona do więzienia w Halle, skąd transportem miałam zostać odesłana do wrocławskiego więzienia. Stefie zdążyłam jeszcze zostawić adres swojej koleżanki z Wrocławia. Prosiłam ją, żeby napisała do mnie, jak tylko ją zwolnią z obozu i w ten sposób się odnajdziemy. Zostałam odesłana do Halle, a po tygodniu

¹² W polskiej gwarze więziennej kalifaktor to więzień funkcyjny (np. roznoszący posiłki).

odtransportowano mnie pociągiem dla więźniów do stolicy Łużyczan – Cottbus¹³. Z małego okienka naszego wagonu obserwowałam miasto i jego mieszkańców. Myślałam, że jestem w Łowiczu – podobne stroje ludowe i pasiaki, a na głowach kobiet kolorowe chusty albo koronkowe czepce. To miasto bardzo mi się spodobało. Jednak poznałam w nim tylko mury więzienne, bo przenocowaliśmy tam jedną noc, a nazajutrz z powrotem do pociągu i do Wrocławia, do więzienia przy Neue Graupenstr. [obecnie ul. Sądowa].

Po przesłuchaniu na wrocławskim gestapo, gdzie już uważano mnie za starą znajomą, czyli recydywistkę, postanowiono mnie zwolnić. Skierowano mnie z powrotem do Arbeitsamtu w celu zatrudnienia.

Moja była szefowa bardzo chciała, abym do niej wróciła, ale ja uparłam się, że nigdy już nie będę służącą u nikogo i prosiłam, aby mnie z powrotem zamknięto w więzieniu. Wszyscy patrzyli na mnie jak na wariatkę, ale ja upierałam się przy swoim i wciąż powtarzałam, że wolę pracę w więzieniu niż w gospodarstwie domowym u Niemców!

Z Arbeitsamtu zadzwonili na gestapo z pytaniem, co ze mną zrobić. Nie wiem, co im odpowiedziano, ale widocznie musiało to być coś pozytywnego o mnie, ponieważ dostałam skierowanie do pracy w szpitalu Bethesda¹⁴. Tego samego dnia zgłosiłam się do siostry przełożonej ze skierowaniem. Siostra nigdy wcześniej nie miała do czynienia z Polkami i nie wiedziała, jak ma ze mną postępować. Na pytanie, skąd przybyłam – odpowiedziałam jej, że z więzienia. Zrobiła duże oczy i nie wiedziała nawet, od czego rozpocząć rozmowę. Siostra przełożona była zakonną pielęgniarką ewangelicką i w całym szpitalu pracowały wyłącznie zakonne ewangeliczki. Moja rozmowa z siostrą przełożoną trwała kilka godzin. Oczywiście drzwi były zamknięte na klucz, żeby nikt nam nie przeszkadzał. Opowiedziałam jej dużo – o obozie i więzieniu, o deportacjach Żydów i o innych nieszczęściach. Odbylam przed nią spowiedź – jak przed spowiednikiem, nie zdradziłam jej tylko swojego żydowskiego pochodzenia, które zawsze ukrywałam, jak mogłam i w tej chwili słabości też się nie dałam. To był dla mnie w tym okresie temat tabu. Okazało się, że moja przełożona nic o tych rzeczach nigdy nie słyszała. Nie chciało mi się wierzyć, że to może być prawda. Jak w ogóle można było nie wiedzieć, co się dzieje we własnym kraju – że morduje się ludzi, że istnieją krematoria, obozy koncentracyjne i sadyści z SS? Nie, do mnie to nie trafiało. Jednak siostra Klara – bo tak się nazywała – faktycznie nic nie wiedziała o tych okropnościach. Przekonałam

¹³ Cottbus (Chociebuż) – główne miasto oraz stolica kulturalna Dolnych Łużyc; ośrodek kulturalny Dolnołużyczan.

¹⁴ Szpital *Bethesda* powstał w 1899 r. z inicjatywy hrabiny Wally Poninskiej przy ówczesnej *Gustav-Freytag-Str.* (obecna ul. Dyrekcyjna 5/7); pełnił funkcję pierwszej wrocławskiej polikliniki dziecięcej; prowadziły go ewangelickie diakonisy.

się o tym wkrótce, gdy zjawił się szupowiec i kazał mnie odizolować w osobnym pokoju, bo przecież Polce nie wolno spać w jednym pomieszczeniu z Niemkami!. Dostałam mały pokój na poddaszu i tam zamieszkałam. Dla mnie osobiście to było lepsze rozwiązanie. Potem kazano mnie odseparować od stołu, ale siostra przełożona absolutnie się na to nie zgodziła. Oczywiście na policji nie wiedzieli, że ja jem razem z Niemkami. Siostra kilka razy mnie też wybroniła, jak przychodziłam po godzinie policyjnej do domu. Jak czekał na mnie szupo, to trzymała go tak długo, aż zdążyłam wrócić do domu i wtedy prowadziła go do mnie. Czułam, że siostra Klara mnie lubi i jej postawa dodawała mi otuchy. Przy pozdrowieniach nigdy nie używała „Heil Hitler”, tylko „dzień dobry” – odpowiednio do pory dnia.

Dopiero pod koniec wojny zaczęła heilować, ale wtedy już musiała. Zawsze wtedy patrzyłam na nią ironicznie i tylko oczy mi się śmiały. Wiem, że było jej wstyd...

Siostra przełożona przydzieliła mnie do pracy w pralni szpitalnej. Moją bezpośrednią przełożoną była staruszka – siostra Berta. W pralni pracowało nas pięć osób. Ja byłam jedyną Polką pracującą w tym szpitalu. Dopiero parę miesięcy później przyjęto drugą Polkę z Poznania – starszą już kobietę, która miała córkę w moim wieku. Potem przyjęto jeszcze Słowaczkę i cztery Holenderki. Była jeszcze lekarka z Rumunii i lekarz z Włoch. Pozostały personel to byli sami Niemcy. Im było bliżej końca wojny, to przyjmowano do pracy więcej cudzoziemców.

W pralni pracowałam jakiś czas, potem zastępowałam innych pracowników, którzy przebywali na urlopach. W ten sposób poznałam cały szpital. Jak tylko jakaś salowa poszła na urlop, to od razu mnie wysyłano na zastępstwo. Najdłużej pracowałam na bloku operacyjnym. Właśnie tam mnie najbardziej lubiano, bo robiłam straszne kawały, które jednak zawsze uchodziły mi płazem. Raz podczas płukania prześcieradeł pooperacyjnych pozbierałam kawałki mięśni i przyniosłam ordynatorowi w podarunku – jako mięso bezkarkowe. Oczywiście mój kawał został dobrze przyjęty przez cały personel sali operacyjnej i było dużo śmiechu.

W szpitalu czułam się dużo lepiej – mam z tego okresu zachowanych mnóstwo fotografii. Pewnego dnia zadzwoniła do mnie Halina mówiąc, że otrzymała list od Stefy – tej, z którą siedziałam razem w obozie w Spergau i więzieniu. Ogromnie się ucieszyłam i zaraz jej odpowiedziałam na list, wkładając do koperty kartki żywnościowe na mięso i chleb. Były to specjalne kartki, których nie trzeba było nigdzie meldować – tak zwane kartki podróżnicze. Posłałam jej też, za pośrednictwem Małego Jasia kilka paczek żywnościowych. Potem nasz kontakt się urwał i do dziś nie wiem, co się stało ze Stefą i jej matką. Jakie były ich dalsze

losy i jak przeżyły? Bardzo chciałabym wiedzieć, jak Stefie powiodło się w życiu... Pozostała mi po niej tylko fotografia, ale cały czas mam nadzieję, że ją kiedyś odnajdę...

Dnie mijały i było coraz bliżej końca wojny. Jednak ja jeszcze bardziej musiałam ukrywać swoje pochodzenie. Bałam się nawet, że w nocy mogę wygadać się przez sen. Całe szczęście, że w szpitalu dostałam osobny pokój. Jednak na kłopoty nie musiałam długo czekać. Okazało się, że moja kuzynka Stasia-Emma wpadła w tarapaty u swojej gospodyni – pani Draft. Jedyny raz wróciła do domu po godzinie policyjnej i dostała od swojej pani w twarz. Stasia, która nigdy się nie denerwowała, tym razem odpyskowała jej. Podobno powiedziała jej kilka nieprzyzwoitych słów. I właśnie ta kulturalna i bardzo szanowana doktorowa Draft kazała Stasię aresztować i wysłać do obozu Auschwitz-Birkenau.

Strasznie to wszystko przeżywałam. Jeszcze wcześniej kazali jej na gestapo odmówić wszystkie pacierze i modlitwy. Stasia uparła się i odpowiedziała, że będzie modlić się tylko w kościele. Zabrali ją więc do kościoła i tam cały mały katechizm odmówiła na pamięć.

Na szczęście podejrzenie o niearyjskie pochodzenie okazało się błędne, ale Stasię i tak wysłano do obozu. Bardzo się o nią zamartwiałam, a otrzymałam od niej tylko jeden list.

Tadeusz i Elfryda

Pewnego dnia przyjechał do Wrocławia Tadeusz – narzeczony Stasi. Ten sam, którego poznała w obozie w Częstochowie. Stasi już nie było we Wrocławiu, więc przyszedł do mnie, do szpitala. Zgłosił się do siostry furtianki, a ta mnie zawołała. Tadeusz wyglądał okropnie – był brunetem, ale teraz w dodatku był brudny, nieogolony i strasznie zaniedbany. Nie wiem, jak mu się udało uciec z Berlina (a przynajmniej tak twierdził). Ja mu nigdy nie wierzyłam. Ale co miałam zrobić – musiałam mu pomóc. Wzięłam go więc na górę, do swojego pokoju, przedstawiając jako swojego kuzyna. Od pielęgniarki pożyczyłam brzytwę, kazałam mu się ogolić i wykapać. Wyprałam mu koszulę i wyczyściłam ubranie, nie wypuszczając na miasto w takim stanie. Oczywiście z noclegiem nie mogłam już nic wymyślić, ale Tadeusz jakoś sam sobie poradził. We Wrocławiu przebywał kilka dni i codziennie spotykaliśmy się po pracy. Godzinami spacerowaliśmy po mieście i gadaliśmy o wszystkim i o niczym, choć najczęściej o Stasi i jej losie. Tadeusz zniknął tak nagle, jak się pojawił, bez pożegnania. Zdążyłam tylko zauważyć, że miał mnóstwo różnego rodzaju dokumentów, wystawionych na różne nazwiska. Ja na wszelki wypadek zabrałam mu jedną żeńską metrykę. Jak bardzo mi się przydała, to opiszę potem.

Stasia nie wracała z obozu i stale się o nią martwiłam. Przychodziłam do moich współrodaków – spotykałam się ze Staszkiem, dwoma Jankami, Krysią i jej mężem Heńkiem. Z Haliną widywałam się prawie codziennie po pracy. Nie bałam się wracać do szpitala po godzinie policyjnej. Wtedy już zupełnie poprawnie rozmawiałam po niemiecku i trudno było mnie odróżnić od Niemki. Jak wracałam do szpitala, to stale do mnie przyplątywał się jakiś niemiecki żołnierz, który koniecznie chciał mnie odprowadzać. Na taką propozycję zawsze wyrażałam zgodę i wtedy byłam już zabezpieczona przed atakiem policjantów. Jak nie było takiej możliwości, to wracałam sama, ale nigdy się nie bałam i to mi pomagało. Mogę powiedzieć, że strach towarzyszył mi na co dzień, dlatego w końcu przestałam się bać.

Wkrótce stało się kolejne nieszczęście – Halina została aresztowana, bo tak samo, jak ja, nie chciała być służącą u Niemców. Posadzono ją do więzienia przy Gräbschener Str. [obecna ul. Grabiszyńska]. Budynek był przedwojenną szkołą żydowską (a po wyzwoleniu mieścił się tam dom dziecka)¹⁵. Dostałam od Haliny gryps: „Przyjdź do mnie do więzienia, będę czekała w piwnicy”. Przez okna piwnicy, które wychodziły na ulicę, mogłam przy nieuwadze strażnika jej coś rzucić i zamienić z nią kilka słów. Oczywiście strażnik udawał, że mnie nie widzi. Halina mi potem opowiedziała, że wszystko było z nim ustalone. Przychodziłam do niej codziennie i zawsze przynosiłam jej wałówkę, którą się dzieliła z innymi. To trwało prawie trzy tygodnie. Potem Halinę wywieźli do Ravensbrück i dostałam od niej tylko jeden list¹⁶.

Z naszej „trójcy” zostałam sama – Stasia była w Auschwitz-Birkenau, a Halina w Ravensbrück. W szpitalu zaprzyjaźniłam się z Niemką Elfrydą. Pracowałyśmy razem w pralni i tak nawiązała się nasza przyjaźń, która potem przetrwała. Chodziłyśmy razem na spacer. Do dziś mam kilka fotografii z tego okresu. Potem ją zapoznałam z moim polsko-żydowskim towarzystwem. Oczywiście nie mogłam jej zdradzić, kim naprawdę są moi przyjaciele, ale Elfryda sama opowiadała o deportacjach Żydów wrocławskich i strasznie nad tym ubolewała¹⁷. Mówiła mi: „Zobaczysz, że to się kiedyś skończy”. Wiedziała, że koniec hitlerowców nastąpi i to niebawem. Ja nie zwierzałam się jej ze swoich spostrzeżeń, bo nie byłam pewna, jak mam postąpić. Udawałam przed nią dziewczynę, które nie zajmuje się polityką, ale chłopcami, kinem i różnego rodzaju rozrywkami. Chodziłyśmy razem do teatru i Varietes przy Neue Taschenstr. [obecna ul. Kołłątaja]. Pewnego razu wybrałyśmy się

¹⁵ Przy ul. Grabiszyńskiej 61-65 od 1881 r. miał swoją siedzibę sierociniec żydowski prowadzony przez Fundację Heimanna; po 1945 r. mieściło się tam przedszkole dla dzieci żydowskich im. Janusza Korczaka.

¹⁶ Ravensbrück – niemiecki obóz koncentracyjny, zlokalizowany w pobliżu miejscowości Fürstenberg w Brandenburgii; pełnił funkcję głównego obozu kobiecego.

¹⁷ Żydów wrocławskich i dolnośląskich deportowano do obozów zagłady w 11 transportach od końca 1941 r. do połowy 1944 r.

do opery i w szatni przypadkowo spotkałam gestapowca, który mnie od razu poznał. Elfryda nie wiedziała, o co chodzi, bo ja – zamiast oddać swój płaszcz – szybko go odebrałam od garderobianego i po schodach ruszyłam jak strzała! Moja przyjaciółka wybiegła za mną i krzyczała, czemu uciekam. Nie miałam wtedy czasu na tłumaczenie. Dopiero w szpitalu jej wyjaśniłam, że nam, Polakom, nie wolno chodzić do kin, teatrów, oper i lokali. Oczywiście powiedziałam jej także o gestapowcu, którego tam zauważyłam. Musiałam uciekać, bo po spektaklu on by mnie zaaresztował! Zrobiła wielkie oczy i opowiedziała o swoim szwagrze, który siedział w obozie koncentracyjnym w Dachau.

Czasami chodziłam z Elfrydą do jej siostry, która mieszkała na Viktoriast. [obecna ul. Lwowska i Radosna]. Była ona dozorczynią i miała czworo dzieci. Wcześniej Elfryda mówiła mi, że jej szwagier jest w wojsku, dopiero potem, przy okazji moich opowieści, powiedziała mi prawdę. Elfryda była bardzo dobrą dziewczyną. Po wyzwoleniu zakochała się w polskim kolejarzu i chciała za niego wyjść za mąż, ale jako Niemkę koniecznie chcieli ją wysiedlić. Byłam nawet w jej sprawie w Wojewódzkiej Radzie Narodowej, jednak przepędzono mnie stamtąd ze śmiechem, że ujmuję się za Niemką. Moje prośby nic nie pomogły. Potem zachorowałam i do dnia dzisiejszego nie wiem, co się stało z moją niemiecką przyjaciółką. Tak kończyło się wiele moich znajomości. Nie wiem dlaczego, pomimo dobrej pamięci, nie pamiętam nazwisk Stefy i Elfrydy.

Lotte

W szpitalu pracowała z nami sanitariuszka Lotte. Była to stara panna – straszna kłótnica i złośnica. Nikt jej nie lubił i należała do NSDAP. Przy tym była straszną pedantką i czystochłą aż do przesady. Akurat zbliżały się jej urodziny i postanowiłyśmy jej zrobić brzydki kawał. Oczywiście tam, gdzie się robiło kawały, nie mogło mnie zabraknąć. Elfryda postanowiła załatwić się do torebki, a ja miałam napisać na tym „pasztecie” dedykację. Dedykacja brzmiała: „Für Lötchen die alte Ksantype” [Dla Lötchen starej Ksantypy]. Napisałam ten tekst i następnego dnia podłożyłyśmy pod jej drzwi ten „prezent”.

W przygotowaniu tego kawału brało nas udział pięć osób. Lotte otworzyła drzwi, które otwierały się na zewnątrz. Wtedy nastąpił „wybuch” przygniecionej torebki wraz z zawartością. Było dużo śmiechu, ale nasza Lotte wściekła pobiegła na gestapo i o wszystkim doniosła. Oczywiście najwięcej nagadała na mnie. Szybko przyszedł taki stary gestapowiec – Herr Tizte. Przesłuchanie odbywało się w gabinecie siostry przełożonej.

Herr Tizte nie dawał mi spokoju i zamęczał, żebym przyznała się do winy. Ja nie przyznawałam się do niczego – podobnie jak Elfryda, ale Hedwig musiała się przyznać, bo ją nastraszyli, że odbiorą jej dziecko, które miała z jakimś żołnierzem frontowym. Oczywiście aresztowano mnie, Elfrydę i pielęgniarkę Hedwig. W związku z tym, że sprawa dotyczyła Niemek, zrobiono sąd doraźny. Na rozprawie sędzia zapytał mnie, czy wiem, o co jestem oskarżona? Odpowiedziałam: „Tak, wiem, o gówno”. Na sali nastąpił wybuch śmiechu, ale od razu wszystkich uciszono. Siostra przełożona i kierownik administracyjny poręczyli za nas i wypuszczono nas na wolność. Naszą sprawę odroczone tylko dlatego, że nie było ludzi do pracy.

Ja miałam wtedy więcej szczęścia niż rozumu. Elfryda poznała sędziego i nasza rozprawa stale była odraczana. Jednak one miały spokój, w przeciwieństwie do mnie. Wkrótce dostałam zawiadomienie z gestapo, że mam się u nich stawić. Nie wiedziałam, co to może oznaczać. To było chyba we wrześniu 1944 r. Siostra przełożona też nie chciała mi nic na ten temat powiedzieć, ale może sama nie wiedziała.

Gestapo

Poszłam tam z ciężkim sercem. Zaczęło się przesłuchanie i oczywiście szybko ustalili, że ja wcale nie nazywam się Nowak i nie pochodzę z Częstochowy. Wiedzieli, że moje papiery są fałszywe i w końcu mnie zapytali, kim ja jestem? Odpowiedziałam z całą powagą, że jestem dziewczyną. Ale gestapowiec, który mnie przesłuchiwał, pokiwał głową i odrzekł: „Ja wiem, kim ty jesteś!”. Przebiegły mi ciarki po plecach, ale trzymałam się dobrze. Nie wiem, skąd miałam w sobie tyle siły, mając zaledwie 18 lat. On patrząc mi w oczy powiedział: „Jesteś Żydówką, która ukrywa się na cudzych papierach!”. Długo nie namyślając się, odpowiedziałam: „Jak ja jestem Żydówką, to ty jesteś Żydem!”. Tego już było mu za wiele – podskoczył do mnie i z całej siły uderzył mnie w twarz. Zaniemówiłam od razu, ale jakoś się trzymałam. W końcu uspokoił się i zapytał: „To może powiesz mi, kto ty jesteś?”. Odpowiedziałam: „Tak, powiem, ale proszę mnie więcej nie obrażać, porównując mnie do Żydówki, bo tego nie zniosę!”. Opowiedziałam mu bajeczkę, którą sobie wymyśliłam na poczekaniu – że pochodzę z Warszawy. Wiedziałam, że Warszawa jest zburzona i tam nie znajdą już żadnych dokumentów, żeby zweryfikować, to, co mówię. Powiedziałam, że nazywałam się Stanisława Majewska (bo taką miałam metrykę od Tadeusza), ale nie pamiętałam daty urodzenia ani imion moich rodziców z tej nowej

metryki. Jednak gestapowca tak pochłonęła myśl, że tak szybko mu się przyznałam, że już mnie nie pytał o żadne szczegóły. Interesowała go tylko moja metryka – gdzie ją mam i dlaczego zmieniłam nazwisko. Opowiedziałam, że rodzice chcieli mnie wydać za mąż za starego dziada i dlatego uciekłam z domu, zapisując się ochotniczo do pracy bez żadnych dokumentów. Z rodzicami w ogóle nie mam kontaktu i nie chcę nawet wiedzieć, gdzie oni przebywają. Wolę już przebywać w Niemczech. Jeszcze plotłam trzy po trzy, żeby mnie puścił do szpitala, to mu swoje papiery przyniosę, a jak mi nie wierzy, to może mi dać asystę policjantów i tam im wręcę swoje papiery. Prosiłam tylko, żeby siostry przełożonej w moje sprawy nie wtajemniczać, bo jest mi przed nią bardzo wstyd.

Jakoś i tym razem szczęście mi dopisało i poszło ze mną dwóch cerberów. Typy jak spod ciemnej gwiazdy i mało inteligentne. Po drodze prosiłam ich jeszcze, żeby nie mówili, że są z policji, tylko znajomymi mojego ojca, którzy przyszli zobaczyć, jak pracuję. Tak gorąco ich o to prosiłam, że w końcu się zgodzili. W szpitalu jednak weszli ze mną do mojego pokoju. Metrykę miałam ukrytą w szafie. Podeszłam szybko do szafy i zanim się zorientowali, już miałam metrykę ukrytą za biustonoszem. Uśmiechając się do nich, przymilnie powiedziałam, że muszę skorzystać z toalety. Oczywiście jeden z nich poszedł za mną i pilnował drzwi. Szybko zamknęłam się w toalecie, gdzie kilka razy przeczytałam swoją nową metrykę. Niestety według niej byłam starsza o cztery lata, a więc miałam 22 lata. Wyuczyłam się na pamięć wszystkich szczegółów. Weszłam ponownie do pokoju i szybko im podałam metrykę, mówiąc, że właśnie wyciągnęłam ją z szafy (zresztą stworzyłam takie pozory). Oczywiście szybko ją złapali i już jej do rąk nie dostałam. Na gestapo musiałam dokładnie z pamięci odtworzyć wszystkie dane, włącznie z datami urodzenia rodziców. Najbardziej ich ubawiło to, że wcześniej się odmłodziłam, a przecież jestem dużo starsza. Mnie też bawiła ich durna radość i głupie gęby. Postanowili mnie wypuścić na wolność, ale pod warunkiem, że będę miała opiekuna i będę się stale u nich meldować. Kazali mi przemeldować się na moje „prawdziwe” nazwisko, ale nikt mnie nie chciał uznać za Majewską i już pozostałam jako Nowak. Po miesiącu poszłam na policję zameldować się, gdzie przyjęli mnie ze śmiechem, jak starą znajomą i powiedzieli do mnie: „Z tobą jednak coś jest, bo wcale nie śmierzisz Polską!”. Powiedziałam im, że już raz się spotkałam z takim sformułowaniem u mojej szefowej – Frau Sroki. Dodałam również, że się mylą, bo ani Polacy, ani Polska nie śmierdzą. Oni do mnie, że jak umrę, to będą musieli moją głowę jeszcze raz zabić, bo ja nigdy nikomu nic nie zostawiam i zawsze muszę mieć ostatnie słowo.

Stasia

Wreszcie Stasia wróciła z obozu Birkenau. Obie skakałyśmy z radości, ale to, co zrobiła jej była szefowa, żeby się na niej zemścić, było ostatnią sztuką perfidii. Kazała ją zatrudnić w burdelu dla cudzoziemców, który mieścił się przy Kletschkaustr. [obecnie ul. Kleczkowska], naprzeciw więzienia. Pracowała tam jako pomoc kuchenna, a w dni świąteczne musiała siedzieć przy kasie i sprzedawać bilety wstępu do domu publicznego. To sprzedawanie biletów było najgorsze i Stasia okropnie to przeżywała. Po obozie była mizerna i wycieńczona, a tu znowu takie ohydne sprawy! Nie wiedziałam, jak ją pocieszać.

Poprosiłam swoją siostrę przełożoną, aby ją wzięła do szpitala, ale nie mogła mi pomóc. Całymi dniami zastanawiałam się, jak to zrobić, aby ją stamtąd wyrwać. Powoli zaczęłyśmy układać plan działania, który z czasem nabierał coraz bardziej realnych kształtów. Zaczęłam coraz częściej przychodzić do Stasi. Swojemu szefowi, którego nazywano „Puffvater”, Stasia powiedziała, że jestem Volksdeutschem, co oczywiście zrobiło na nim wrażenie. Nawet na drugi dzień zostałam przez niego zaproszona na wódkę. Oczywiście skorzystałam z okazji, choć serce zamarło mi ze strachu. Na przyjęciu poznałam żonę szefa Stasi, którą nazywano „Puffmutter”. Był tam również mundurowy policjant, który nawet zaczął się do mnie zalecać. Rozmawialiśmy popijając sznapsa, ale oni szybko się spili, a ja wtedy dyskretnie ulotniłam się do pokoju Stasi.

Zajmowała pokój w baraku, naprzeciwko więzienia. Mieszkała razem z Ukrainką Marią, która była naprawdę morową babką. Pracowała jako główna kucharka. Jeden barak przeznaczony był na salon przyjęć i kabiny prostytutek, drugi – na ich mieszkania prywatne, kuchnię i jadalnię. W trzecim baraku pracował personel administracyjny. Stasia – jak zwykle cicha i łagodna – współczuła tym pannom lekkiego prowadzenia. Zauważyłam nawet między nimi pewną zażyłość. Nie podobało mi się to wszystko, bo wiedziałam, że te dziewczyny same wybrały sobie taką profesję! Nikt ich do tego nie zmuszał! Ich usprawiedliwień w ogóle nie przyjmowałam do wiadomości. Wiedziały, że ich nienawidzę, bo nie ukrywałam tego. Natomiast Stasia okazywała im współczucie. Bardzo się na nie złościłam – najbardziej na dwie Polki, które były wśród tych prostytutek. Wszystkich dziewcząt pracowało tam 20, a wśród nich najwięcej było Francuzek. Wydawało mi się, że te Francuzki były zawodowymi prostytutkami z Francji – podobnie jak Czeszki. Ale te dwie Polki na pewno nie – bo z jedną z nich nawet rozmawiałam. Pochodziła z Poznania i bardzo się wstydziła tego, że pracuje w burdelu. Widać było, że dziewczyna – mimo swojego trudnego położenia – zachowała jeszcze resztki wstydu.

Ja wszystkie te panny traktowałam jak powietrze. Choć trzeba przyznać, że były bardzo czyste i co drugi dzień chodziły na badania. Ja tam przychodziłam tylko dla Stasi. Najgorzej jednak było w niedzielę, kiedy Stasia musiała siedzieć przy kasie i sprzedawać bilety. Kolejki w tym burdelu były ogromne – takie jak przy kasach biletowych przed świętami. Przychodzili mężczyźni różnych narodowości. Kogo tam nie było... Potem każda prostytutka chwaliła się swoimi rekordami. Nie mogłabym nigdy uwierzyć, gdybym sama tego nie słyszała, że jedna prostytutka potrafiła w jedną niedzielę obsłużyć 70 mężczyzn!

One miały potem bardzo dużo pieniędzy, bo każdy mężczyzna dawał im dodatkowo – oprócz biletu – jakąś sumę pieniędzy. Wiem, że mnie nie lubiły, ale ja wcale się tym nie przejmowałam, a raczej sprawiało mi to satysfakcję.

W tym domu publicznym dla cudzoziemców spotykali się mężczyźni różnych narodowości i przy okazji zaczął tam kwitnąć handel, czyli czarny rynek. Tam można było wszystko kupić i wszystko sprzedać. Właściwie część panów przychodziła do burdelu chyba przede wszystkim w sprawach handlowych. Pewnej niedzieli przyszedłam do Stasi, żeby ją zabrać na spacer, bo akurat miała mieć wolne. Ale szef nie dał jej wolnego dnia, bo dzień wcześniej pukał do jej drzwi, a ona nie chciała go wpuścić do siebie. Miała rację – był zupełnie pijany. Ze złości przykleił jej na drzwiach bociana. Ja dobrze zapamiętałam tę historię i postanowiłam wykorzystać ten fakt do uwolnienia Stasi z tej ohydnej pracy. Stanowczo kazałam Stasi iść do swojego pokoju, a sama usiadłam przy kasie, sprzedając bilety wstępu do burdelu. Przy okienku spotykałam wielu znajomych chłopców. Oczywiście na mój widok robili wielkie oczy i uśmiechali się ironicznie. Udawałam, że tego nie zauważam.

Powoli zaczynał dojrzewać mój plan wydobycia Stasi – za wszelką cenę pragnęłam, żeby stąd odeszła i zaczęła pracować gdziekolwiek indziej, byle nie tu. Umizgi szefa do Stasi stawały się coraz częstsze. Moja przyjaciółka wiecznie zamykała się na klucz, o czym opowiadała mi jej współlokatorka Maria. Pewnego dnia postanowiłam zostać u Stasi na noc, ale tak, że ten jej szef mnie nie zauważył. Maria też miała przyjść do pokoju niepostrzeżenie. Stworzyłyśmy pozory, że Stasia jest w pokoju sama. Ja jeszcze weszłam do pokoju szefa i powiedziałam „dobranoc”, żeby sprawić wrażenie, że wychodzę. A my wszystkie trzy siedziałyśmy zaczajone w pokoju. Stasia zgasiła światło i położyła się do łóżka spać. Nagle usłyszałyśmy kroki szefa. Był pijany i zataczał się w korytarzu. Przystanął pod drzwiami Stasi i parę sekund nasłuchiwał. W pewnej chwili zapukał lekko do drzwi, a potem zaczął pukać coraz mocniej. Dałyśmy znak Stasi, żeby otworzyła, co też uczyniła. Szef wlaźł do pokoju pijany jak świnia, w samych spodenkach i zaczął Stasię tarmosić. Ta się broniła, ale on ją

ciągnął w stronę łóżka. Miałam już dość tej zabawy i wyskoczyłam z ukrycia. Maria też wyskoczyła i złapałyśmy tego idiotę. Momentalnie wytrzeźwia! Nie zrobiliśmy mu nic, ale kazałam mu do jutra wystarać się o nową pracownicę na miejsce Stasi, bo w przeciwnym wypadku będę zmuszona donieść na gestapo, że on – który był czystej krwi Niemcem – dobiera się do Polki. Następnego dnia, zgodnie z umową, przyszedłam dowiedzieć się, jak załatwił tę sprawę. Oczywiście – nie chciał już nic o tym słyszeć. Postanowiłyśmy z Marią działać – poszłyśmy na gestapo, gdzie opowiedziałyśmy o tym, co widziałyśmy wczoraj w pokoju Stasi. Uwierzyli nam i aresztowali szefa burdelu, ale samą Stasię także. Miałyśmy niewesołe miny i nie wiedziałyśmy, co robić. Zaczęłam prosić naszego kierownika gospodarczego szpitala o pomoc w uwolnieniu przyjaciółki. Pan Lorenz bardzo mnie lubił i stale mi obiecywał, że po wojnie zawiezie mnie samochodem do siebie do domu.

Do dziś nie wiem, jak on to sobie wyobrażał, ale nie miałam wyboru i musiałam go wysłuchiwać, gdy pomagałam mu myć samochód. Jednak pan Lorenz był ważnym członkiem partii i mi pomógł. Stasia została zwolniona z aresztu i jej szef także. Ze złości, gdy wrócił do domu, spalił jej album ze wszystkimi rodzinnymi zdjęciami. Wszystko ze wściekłości! Ja już wcale nie mogłam mu się na oczy pokazywać.

Po tym wszystkim Stasia dostała pracę w wytwórni ciastek „Sobótka”. Ja nadal pracowałam w szpitalu. Nadchodził koniec roku 1944 i ofensywa wschodnia pogoniła Niemców aż do Odry. We Wrocławiu zaczynał się coraz większy ruch – Niemcy ze Wschodu wiali, aż się kurzyło!

Stasia zamieszkała ze mną przy Kirchstr. [obecnie ul. Bernardyńska], u pani Kaletki. Dziś już nie ma tego domu – pozostał po nim tylko plac. Bardzo się cieszyłam, że wreszcie tych Niemców szlag trafi! Już nie miałam cierpliwości, żeby dłużej z nimi wytrzymywać. Ostatnia przeprawa na gestapo, gdzie przez cały dzień maglowali mnie, pytając o pochodzenie, obrzydziła mi ich ostatecznie! Prosiłam swojego kolegę – Małego Jasia, aby pomógł mi wreszcie prysnąć z Wrocławia do Polski centralnej, ale trzeba było czekać na jakiegoś majora z AK, który miał przyjechać z Krakowa. W końcu ten major przyjechał i obiecał mi wyrobić papiery potrzebne do legalnego opuszczenia Niemiec. Dałam mu swoją fotografię i miał przyjechać do Wrocławia za kilka dni. Niestety nie przyjechał, bo już nie mógł. Wrocław szykował się do oblężenia. Niemcy masowo ewakuowali kobiety i dzieci, a mrozy w tym czasie były bardzo silne. Mieszkania opustoszały. My ze Stasią ukrywałyśmy się przed ewakuacją. Nasza gospodyni wyglądała jak czarownica, ale była dla nas bardzo dobra i pomagała nam, jak tylko mogła. My też jej pomagałyśmy – w czym tylko się dało. Szpital, w którym pracowałam, ewakuował się do Piwnicy Świdnickiej. Tam było bardzo

ciasno i w ogóle nie było warunków do normalnej pracy. To był już prawdziwy wojenny chaos.

Pewnego dnia gestapo znowu mnie wezwało do siebie, pytając, jak z moimi papierami i czy już się przemeldowałam na swoje prawdziwe nazwisko? Mnie chciało się z tego wszystkiego śmiać i oni to zauważyli. Powiedziałam prosto z mostu, nie patyczkując się wcale – czy nie macie teraz bardziej istotnych spraw do załatwienia, jak zajmowanie się moją sprawą, która jest przecież taka błaha? Poczekajcie, niech się ta wojna skończy i wtedy wszystko załatwimy, jak trzeba. Po co teraz będziemy się śpieszyć, kiedy każdy z nas ma pełne ręce roboty? Wy też nie macie nic innego na głowie, tylko mnie? Powiedziałam to w tak przekonujący sposób, że popatrzyli na siebie i zaniemówili. Jeden z nich spojrzął na mnie i powiedział: „Może ona ma rację i nam też będzie trzeba zmienić sobie nazwiska”.

I tym razem odesłali mnie do domu, ale ja już nie byłam spokojna.

Postanowiłam odejść ze szpitala. Ordynator oddziału też mi radził gdzieś się zaszyć, aby jakoś przeżyć to wszystko. Ale ja przecież nigdy nie ukrywałam się. Zawsze uważałam, że najlepiej ukrywać się w tłumie. Nie mogłabym siedzieć jak inni w piwnicach i nosa nie wyściubić na powietrze.

W styczniu 1945 roku, przed zamknięciem oblężenia, Staszek błagał mnie, abym z nim wyjechała. Jego szef – dyrektor Młyna Maria – ewakuował się z całą rodziną i Staszek jako kierowca zobowiązany był ich wywieźć. Ubłagał go o jedno miejsce dla mnie, ale ja nie chciałam zostawiać Stasi, gdyż było mi jej bardzo żal. Zamiast mnie pojechał Mały Janek. Oblężenie się zamknęło. Trzeba było jakoś żyć i zdobywać kartki żywnościowe. Zaczęłam pracować razem ze Stasią w „Sobótce”. Potem zakład zlikwidowano, a nas przydzielono do budowania barykad i zapór przeciwczołgowych. Mieszkałyśmy nadal na Kirchstr., gdzie zaczął przychodzić do mnie mój obecny mąż.

Marzec 1968

O tym wszystkim dowiedziałam się wiele lat później, kiedy w naszej socjalistycznej ojczyźnie zaczęła się podobna nagonka na Żydów i niektórzy porządni ludzie milczeli. Bali się przeciwstawić – w obawie o własną egzystencję, o dzieci, żony i posady. W tej walce niektórzy porządni ludzie pozostali sami i czasami bardzo ucierpieli. Tę analogię mogę zastosować dzisiaj – z perspektywy czasu. Trudno porównywać Niemcy hitlerowskie i Polskę socjalistyczną, ale co do lat 1967–68, mogę z całą odpowiedzialnością takiego porównania

dokonać, bo na mnie ten okres wywarł bardzo silne wrażenie. Samo przypomnienie owych oszczerstw rzuconych na ludzi, którzy zupełnie na to nie zasługiwali, wprawiało w prawdziwe przerażenie. Podobnie przerażające były teorie Gomułki na temat Żydów w Polsce. W tym okresie bardzo dużo moich znajomych żydowskiego pochodzenia zostało wyrzuconych z partii. Byli to przeważnie ludzie w starszym i średnim wieku. Wielu z nich, będących już na rencie partyjnej, załamało się w tym czasie i postanowiło wyjechać z kraju. Nikt ze starych towarzyszy nie mógł znieść tych zniewag i oszczerstw rzuconych pod adresem wszystkich bez wyjątku Polaków żydowskiego pochodzenia. Propaganda gomułkowska szalała i była bardzo podobna do propagandy goebbelsowskiej i właśnie stąd pojawiła się ta analogia u mnie. Bo wtedy przypominałam sobie wszystkie lata okupacyjne, bicie serca i straszny ból odczuwany wtedy, kiedy ludzi skazywano na śmierć tylko dlatego, że byli Żydami. To była cała wina tych ludzi. Bardzo wiele ucierpieli też Polacy i inne narodowości, ale dla mnie szczególnie bliski był los narodu żydowskiego.

W okresie wydarzeń marcowych bardzo dużo myślałam o okupacji. Bo przecież wtedy też prześladowano niewinnych ludzi tylko dlatego, że byli Żydami. Bardzo mnie bolało to, że nie operowano nazwiskami „winnych”, ale ich narodowością. Obawiałam się, że w socjalizmie może również zaistnieć terror narodowościowy i będzie można ludzi prześladować tylko za to, że mają inną narodowość albo pochodzenie żydowskie. Przecież na zebraniach partyjnych otwarcie mówiło się o tych „winach nie przypisanych”. Gdy chodziłam na te durne zebrania, z trudem wytrzymywałam nerwowo. Pomogli mi w tym uczciwi ludzie, których nazwisk nie będę teraz wymieniała. Może wrócę do nich później, bo przecież na to bardzo zasługują. Mój mąż był bardzo oburzony takim postępowaniem naszych władz partyjnych. Przecież czegoś takiego już nie można w żaden sposób wytłumaczyć! Wiedziałam, że jak zwykle przyjdzie odpowiedni czas i bardzo wiele rzeczy zostanie wyjaśnionych przez nasze kolejne władze. Ten czas nadszedł trochę za późno, ale lepiej późno niż wcale...

Nadszedł rok 1970 i na same święta Bożego Narodzenia nastąpiła zmiana władzy partyjnej i rządu¹⁸. Tyle tylko, że teraz to już bez entuzjazmu, raczej bardzo boleśnie to wszystko się stało i tylu niewinnych ludzi musiało zginąć, żeby usunąć kacyków partyjnych¹⁹. Wszystko jedno – zadra została u mnie w sercu i nic na to nie pomogę. Brak mi już entuzjazmu i zaufania.

¹⁸ 20 grudnia 1970 r. funkcję I sekretarza KC PZPR objął Edward Gierek.

¹⁹ W dniach 14-22 grudnia 1970 r. na Wybrzeżu doszło do buntu robotników; organizowane były strajki, protesty i wiece, a 17 grudnia w Gdyni podczas manifestacji doszło do masakry, w której zginęło 16 osób; łącznie w wyniku represji na całym Wybrzeżu w grudniu 1970 r. śmierć poniosło 41 osób.

Przypominam sobie, jak w czasie wydarzeń marcowych zostałam wezwana do komitetu partyjnego naszej dzielnicy i pierwszy sekretarz zapytał mnie, czy jestem za Izraelem. Pytanie było tak niedorzeczne, że nie wiedziałam sama, jak mam odpowiedzieć i uśmiełam się serdecznie. Odpowiedziałam, że nie ma obaw, abym wyszła na ulicę i krzyczała na głos, jakie są moje sympatie polityczne i co czuję do Izraela. A jeżeli będę chciała komuś o tym opowiedzieć, to z pewnością nie mojemu sekretarzowi POP [podstawowej organizacji partyjnej], który donosi na mnie do komitetu dzielnicowego, sam nie będąc ze mną szczerym i bojąc się wprost mnie o to zapytać. Ja z kolei zapytałam sekretarza KD – czy ma pretensje do Amerykanów polskiego pochodzenia za to, że czują sympatię do Polski, pomimo, że oba te państwa mają zupełnie różne ustroje? Tak – takie to były głupie i kompromitujące czasy dla naszej ojczyzny. Stale szukanie kozła ofiarnego, który będzie odpowiedzialny za ich winy, co nie popłaca i nie jest możliwe na dłuższą metę. Kłamstwo też nie popłaca.

Zdjęcia



Eugenia Magdziarz tuż po wojnie



**Legitymacja członkowska Eugenii Magdziarz w Stowarzyszeniu Dzieci
Holocaustu w Polsce**



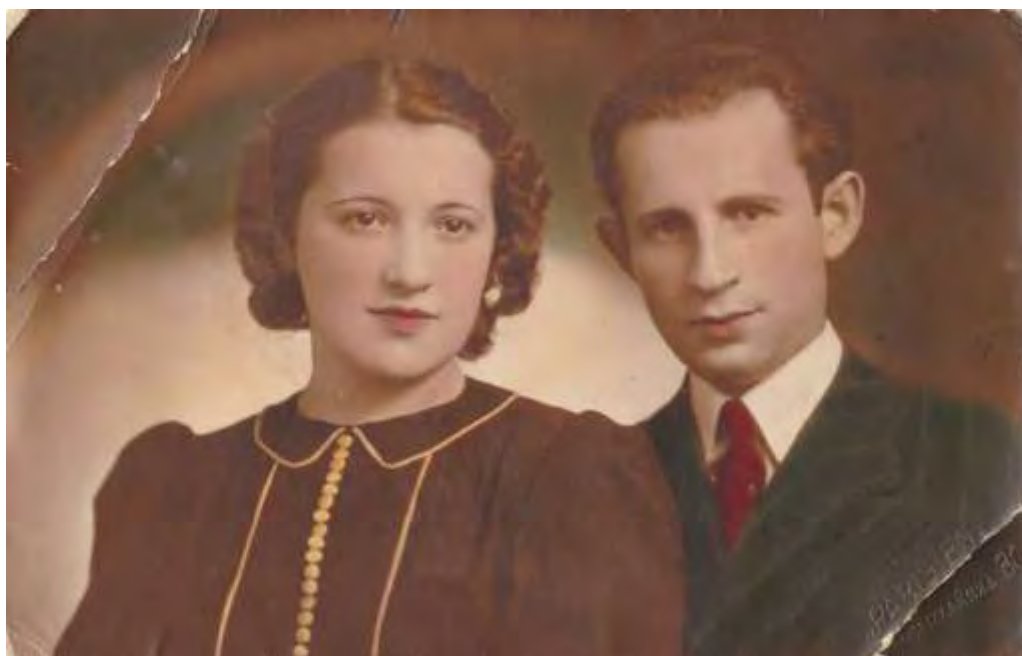
**Eugenia Magdziarz, rodzice, dziadkowie, wujek Samuel z Ema
(we wspomnieniach Stasia), najstarszy brat Szymon i siostra z mężem –
Dobromierz 12.06.1935 r.**



Rodzice Eugenii Magdziarz



Siostra Malgosia – zginęła w Getcie w Łodzi



Siostra Lola z mężem (zginęli obydwój) - zdjęcie z Łodzi z 15.11.1936 r.

Arbeitskarte für *polnische* Arbeitskräfte
 aus *Generalgouvernement*
 und Bescheinigung über eingezahlte Lohnersparnisse

linker Zeigefinger

Raum für Fingerabdruck

rechter Zeigefinger

52 mm

74 mm

Unrechtschrift des Ausländers



A.-G. B.
Arbeitskarte-Befreiungsschein*)

Gültig bis auf weiteres. Widerruf vorbehalten.

Familienname: Nowak

Vor (Ruf-)name: Eugenia

Geburtsname bei Frauen:

Geboren am 2. 2. 25 in Tschenstochau

männlich, weibl., ledig, verheiratet, geschiedl.

Staatsangehörigkeit: staatenlos

Volkszugehörigkeit: Pole

Herkunftsland (eingereist aus): Generalgouvernement

Heimatort: Tschenstochau

Kreis: Tschenstochau

Wohnhaft:
 (bei Ausstellg. d. Befr. Schein)
 Beschäftigt als: Haushälterin

Arbeitsbuch-Nr.: A 14/11021 / 22 a 1

Arbeitsstelle: Krankenhaus Bethesda
Breslau, Gustav-Freytagstr. 5

Tr. Nr.: 250 653/Wf im Inl. seit 17. 9. 42

Ausgestellt am 20. April 1944

(Dienststempel)

Arbeitsamt
Breslau

*) Dienstverpflichteten Arbeiter/Angestellten auszuhändigen! B 0029

Arbeitskarte

Listen-Nr. 1/148

Ort Gruppe Blücher

Arbeitskarte der Festung Breslau

Zuname N o w a k

Vorname Eugenie

geb. am 2.2.25

in Tschenstochau

derzeitige Wohnung Reuschestr. 40

beschäftigt bei Festungsbau

Albert Aisch
Kolonialwaren
Breslau, Reuschestr. 46

Tagesstempel umschließen

(Dienststempel)

1

2

3

5

6

7

8

9

10

11

12

12. 4. 1945	13. 4. 1945	14. 4. 1945	15. 4. 1945	16. 4. 1945	
17. 4. 1945	18. 4. 1945	19. 4. 1945	20. 4. 1945	21. 4. 1945	
22. 4. 1945	23. 4. 1945	24. 4. 1945	25. 4. 1945	26. 4. 1945	
27. 4. 1945	28. 4. 1945	29. 4. 1945	30. 4. 1945	1. 5. 1945	
2. 5. 1945	3. 5. 1945	4. 5. 1945	5. 5. 1945	6. 5. 1945	7. 5. 1945
8. 5. 1945	9. 5. 1945	10. 5. 1945	11. 5. 1945	12. 5. 1945	13. 5. 1945

Arbeitskarte der Festung Breslau



POLSKA RZECZPOSPOLITA LUDOWA

Województwo wrocławskie

URZĄD STANU CYWILNEGO we Wrocławiu

Odpis skrócony aktu małżeństwa

I. DANE DOTYCZĄCE OSÓB ZAWIERAJĄCYCH MAŁŻEŃSTWO:

	Mezycyzna	Kobieta
1. Nazwisko . . .	<u>Magdziarz - - -</u>	<u>Weinstein - - - -</u>
2. Imię (imiona) . . .	<u>Jan - - - - -</u>	<u>Eugenia - - - - -</u>
3. Nazwisko rodowe . . .	- - - - -	- - - - -
4. Data urodzenia . . .	<u>26 kwietnia 1918-</u>	<u>15 lipca 1926 - -</u>
5. Miejsce urodzenia . . .	<u>Borończynie, p. Miechów-Przedbórz, p.</u>	

II. DANE DOTYCZĄCE DATY I MIEJSCA ZAWARCIA MAŁŻEŃSTWA: Końskie - - -

1. Data dwudziestego czwartego czerwca tysiąc dzie-
więćset czterdziestego piątego roku - - -
 2. Miejsce Wrocław, par. Sw. Bonifacego - /24.06.1945/- - -

III. NAZWISKO NOSZONE PO ZAWARCIU MAŁŻEŃSTWA:

1. Mężczyzny Magdziarz - - - - -
 2. Kobiety Magdziarz - - - - -
 3. Dzieci Magdziarz - - - - -

IV. DANE DOTYCZĄCE RODZICÓW:

A. Ojciec		
1. Nazwisko rodowe . . .	<u>Magdziarz - - -</u>	<u>Weinstein - - - -</u>
2. Imię	<u>Stanisław - - -</u>	<u>Zelik - - - - -</u>
B. Matka		
1. Nazwisko rodowe . . .	<u>Dejwór - - - - -</u>	<u>Koplewicz - - - -</u>
2. Imię	<u>Wiktoria - - -</u>	<u>Cyrla - - - - -</u>

V. ADNOTACJE O USTANIU LUB O UNIEWAŻNIENIU MAŁŻEŃSTWA:



Wzrostem powyższego odpisu
 z treści aktu małżeństwa Nr 1513/60/I
 Wrocław data 1989.04.25 - - -
Kierownik
Urzędu Stanu Cywilnego
 Urzędu Stanu Cywilnego
 w/s Adela Zatocha
 Inspektor Miejski

Skrócony odpis aktu małżeństwa



Eugenia Magdziarz z mężem Janem – zdjęcie ślubne 1945 r.



Eugenia Magdziarz w 1962 r. jako kierowniczką żłobka

SURVIVORS OF THE
SHOAH
VISUAL HISTORY FOUNDATION

19 listopada 1996

Eugenia Magdziarz
Popowicka 146 mU
Wroclaw, 54-328
Poland

Szanowna Pani Magdziarz,

Dzieląc się świadectwem swych przeżyć z okresu Holocaustu, ofiarowała Pani przyszłym pokoleniom możliwość osobistego kontaktu z historią.

Pani wywiad będzie troskliwie przechowany w największym w historii zbiorze poświęconemu tej tematyce. W odległej przyszłości kolejne generacje będą mogły, zwracając się ku tym relacjom, widzieć twarze, słyszeć głosy, uczyć się i na zawsze zapamiętać.

Dziękuję Pani za ten bezcenny wkład, siłę i szczodroliwość ducha.

Z serdecznymi pozdrowieniami,



Steven Spielberg
Prezes Fundacji

List Steven'a Spielberga, prezesa Fundacji Shoah z podziękowaniami